№ 10. Warszawa, dnia 10 Marca (27 Lutego) 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Złota Nr. 23.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Szan. abonentów kwartalnych prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty. Ponownie uwiadamiamy, że numery: 1, 2 i 3 **Prawdy** z r. b. są wyczerpane.

POLITYKA.

POLITYCZNY ROZWÓD.

Kto czyta uważnie i stale dzienniki ruskie, dostrzega jasno fakt, który my uznać musimy za najdonioślejszy od wojny francusko-pruskiej, mianowicie fakt rozwodu małżeństwa politycznego między germanizmem a słowiańszczyzną. Małżeństwo to trwało przeszło wiek cały, czasem chwilowo poważnione, nieraz sprzecznością interesów i dążeń stargane, ale zawsze wracające szybko do zgody. Czy w naturze tego związku nie tkwiły odrazu pierwiastki, wytwarzające zwolna konieczność przyszłego rozdziału i czy już przed wiekiem nie można było wywróżyć chwili obecnej — badać nie będziemy, tem bardziej, że w pismach słowianofilów ciekawy czytelnik znajdzie wystarczającą na te pytania odpowiedź. Uwagę naszą zamkniemy w wypadkach ostatniego piętnastolecia, które bezpośrednio wpływają na chwilę obecną.

Sama idea zjednoczenia Niemiec i zwycięzkie w rozległym obszarze jej spełnienie, ta idea, która za naczelne hasło dała polityce zasadę całkowania plemion, która Germanię dźwigała jako jedno ciało powołane do walki z innemi, dotąd rozćwiartowanemi, musiała w Rosyi zbudzić uczucie potrzeby dokonania dzieła podobnego a zarazem świadomość niebezpieczeństwa ze strony nagle wyrosłego kolosu. Potężne tamy lub głębokie, pozorami życzliwości przykryte, wilcze doły, jakie on wykopał sąsiadce na polu, które ona uważała za dziedzinę swych uprawnionych wpływów — na półwyspie Bałkańskim, naruszyły długoletnią przyjaźń. Unieważnienie traktatu san-stefańskiego i zastąpienie go berlińskim, nacięło w niej ranę, którą pokryto łagodzącymi plastrami i która pod nimi na chwilę się zabliźniła, ale trwale zrosnąć się nie mogła. Wreszcie wystąpił na widownię śmiały, silny i uprzywilejowany człowiek, który zdarł te plastry, ukazał te rany i wezwał naród do zemsty. Człowiekiem tym był Katkow. Nikt bardziej od niego nie wstrząsnął sojuszem rusko-niemieckim, on właściwie jako obrońca Rosyi wystąpił pierwszy ze skargą rozwodową i żądaniem rozwiązania małżeństwa stuletniego. Od tej skargi, którą niezmordowanie popierał coraz nowymi dowodami a oparł na traktacie berlińskim, datuje się w Rosyi prąd antiniemiecki. Prasa ruska, nawet ta jej część, która innych przekonań zmarłego nie podzielała, w tej jednej symfonii poddała się jego lasce dyrektorskiej, którą on dotąd z grobu wybija takt dziennikarskiej orkiestrze. Nie znamy ani jednego pisma w tej prasie, nad którem by nie unosił się duch Katkowa przy rozbiorze stosunku do Niemiec. Niektóre zaś pomiędzy niemi tak stwardniały w swej niechęci, że nie zmiękczą jej żadne umizgi przeciwnika. Dość zwrócić uwagę na *Swiet*, dziennik najbardziej rozpowszechniony w Rosyi, bo rozchodzący się w setce tysięcy egzemplarzy, a więc najwierniej wyrażający usposobienia narodu. Jest on względem niemców nieprzejednanym. Umie pogodzić się z myślą wszelkich sojuszów, aby tylko bez udziału Prus. Chociaż nie dostrzegamy tej stałości uczuć i przekonań w szeroko czytanej gazecie *Nowoje Wremia*, ale również w kameleonowych jej barwach antiniemiecka przebija się najmocniej. Znaczącym zaś nadewszystko objawem nie są chwilowe wybuchy niechęci lub gniewu, ale nadzwyczajna krótkotrwałość sympatyi i ustawiczne powroty do niezadowolenia. Nieraz zdaje się, że jakaś życzliwa mowa ks. Bismarka, podwyżka kursu rubla na giełdzie, łagodniejszy ton dzienników niemieckich uspokoi wiatry; bynajmniej, ucichną one na dni kilka i znowu burzliwie dmuchać zaczynają.

Rozbrat tedy niemiecko-ruski jest faktem niewątpliwym i niezmiernie ważnym, gdyż, jeżeli — za czem przemawiają liczne objawy — pozostanie on stałym stanem stosunków międzynarodowych, odciśnie swe piętno na zdarzeniach politycznych przyszłości najbliższej. Nikt nie zaprzeczy, że w wysokim stopniu zależą od postaci tych stosunków i że według nich układać się będą szeregi pierwszorzędnych wypadków. Dziś w Europie Rosya i Niemcy są potęgami naczelnemi, od ich więc zgody lub starcia zawisły dalsze jej losy. Jak rzekliśmy, węzły zgody pękają, nie znaczy to wszakże, ażeby natychmiast miało nastąpić starcie lub wogóle, ażeby te mocarstwa wyzwały się do rozprawy orężnej. Nie zapominajmy bowiem, że Niemcy to nie samo państwo tej nazwy, ale system państw — Austrya, Anglia, Włochy, po części ludy półwyspu Bałkańskiego — w odgadywanej przeto wojnie Niemcy mogłyby odegrać tylko rolę podstawy działań, opory silnej, ale biernej, która dopiero w niebezpieczeństwie przeszłaby do czynu. Są ludzie, co już widzą nadciągające od Torunia i Królewca pułki pruskie; my ich nie widzimy i może nigdy nie zobaczymy, gdyż ks. Bismark sprzymierzeńcom swoim chce odstąpić wawrzyny wojenne, a podzielić z nimi jedynie łupy. Mimo wszakże tego przekonania, w rdzewieniu i kruszeniu się ogniw przyjaźni rusko-niemieckiej dostrzegamy zapowiedź stanowczego i nieobliczonego co do następstw zwrotu kolei losów Europy, który dalej sięgnie skutkami, niż zmiany rządów we Francyi, niż zatargi papieża z królem włoskim, niż wstrząśnienia

wewnętrzne w Anglii. Zapewne nie każdy punkt świata jednako odczuwa i odczuje wpływ tego przełomu, ale my możemy sądzić wagę zdarzeń z tego tylko punktu, na którym stoimy. Dlatego wspomnianemu faktowi nadajemy tak wielkie znaczenie, dlatego bacznie obserwujemy przebieg związanych z nim procesów. Codzienny zaś kurs giełdy berlińskiej, zwłaszcza rzucony na tło ciemne prasy obu krajów, aż nadto przekonywa, że te procesy rozwijają się szybko i w stałym kierunku.

NA WSTECZ.

W ostatnich czasach szczególnie odznaczył się pod sztandarem reakcyi austryacki minister oświaty, o którym dzisiaj śmiało powiedzieć można, że jest duchowym synem Bismarka. Do niedawna nieznany, niższy urzędnik był z chwilą objęcia teki p. Paweł v. Gautsch podobnym do człowieka zamaskowanego. Nikt o nim nic pewnego powiedzieć nie umiał. Obecnie już po kilkakroć uchylił swej tajemniczej maski. Ujrzeliśmy centralistę i biurokratę, żywiącego nienawiść do słowian, niemca dumnego ze swej rzekomo wyższej cywilizacyi i pragnącego *zaustryaczyć* jedenaście narodowości, zeszytych razem na początku tego stulecia w coś takiego, co nigdy w jeden organizm, trwale żyjący zlać się nie zdoła.

On to utrudnił przez podwyższenie opłaty dzieciom uboższych rodziców wstęp do gimnazyów; on zamknął sporą garść szkół średnich, przyczem pokrzywdził czechów; on zakazał nauczycielom gimnazyalnym przyjmować mandaty do Rady państwa, a przez to uszczuplił wolność obywatelską całej oświeconej warstwy społecznej; on wreszcie z początkiem bieżącej sesyi parlamentarnej przedstawił projekt, nazwany skromnie „nową ustawą o stowarzyszeniach akademickich,“ a będący w gruncie rzeczy niczem innem, jak ustawą wyjątkową, krępującą swobodę tych, którzy niebawem mają stanąć, jeżeli nie na czele, to w każdym razie na przedzie społeczeństwa.

W całej Austryi projekt ów wielkie obudził obawy, a ponieważ zarazem jest to sprawa szerszego zakroju, nietylko miejscowa, a — jak widać z ostatnich telegramów — jątrząca umysły, przyjrzyjmy się i my jej potroszę.

Studenci uniwersytetów zawiązywali dotychczas swe towarzystwa na mocy ogólnej ustawy o stowarzyszeniach z r. 1867. Po ułożeniu statutów posyłano je Namiestnictwu do zatwierdzenia, a jeżeli po upływie czterech tygodni nie otrzymano odpowiedzi, był to znak, że władza nic przeciwko tym statutom nie ma i zatwierdza je. Od tej chwili można wybierać zarząd, rozpoczynać działalność i przyjmować członków. Władza nie mieszała się do spraw wewnętrznych stowarzyszenia, a jej przedstawiciel, komisarz policyi, zjawiał się raz na rok na walnem zgromadzeniu. Śledził on przebieg obrad, do których wtrącać się nie miał prawa, wolno mu było tylko rozwiązać zgromadzenie w takim razie, gdy zauważył, że dyskusya wchodzi na tory sprzeczne z kodeksem lub staje się zbyt burzliwą.

Jedynie w uniwersytecie krakowskim, gnieździe os ultramontańskich i pająków-historyków, uwielbiających bizantyjskie instytucye i pruską politykę gwałtu, nadzór nad młodzieżą mieli profesorowie. Corocznie kilku z ich grona piastowało godność kuratorów stowarzyszeń akademickich. Kuratora takiego musiał zarząd uwiadamiać o każdej uchwale, która dopiero po jego zatwierdzeniu stawała się prawomocną; kurator bywał na zgromadzeniach i nieraz głosem swym w pomoc przychodził stronie, której sprzyjał, a karcił tych mówców, których zapatrywania mu się nie podobały.

Nic więc dziwnego, że młodzież akademicka krakowska zmieniła się wkrótce w stado powolnych na każde skinienie baranków, że wśród niej powstało wstrętne i lokajskie grono, które zohydziło tylko nazwę Filaretów, nic dziwnego, że uniwersytet krakowski jest szkołą „sztuki przypodobania się,“ bagnistą i zatęchłą sadzawką, w której musi zginąć wszelki podnioślejszy i gorętszy umysł.

We Lwowie atoli i w innych uniwersytetach działo się znacznie lepiej. Jeżeli zdarzały się wybryki i zaburzenia, to przyczyny ich nie należało szukać w zbyt liberalnej ustawie, lecz w krewkiej i gorącej krwi, która musi się wyszumieć, nieraz bez względu na wszelkie okoliczności i powody, czy to politycznej, czy towarzyskiej natury.

Lecz doktorowi *honoris causa* uniwersytetu krakowskiego nie podobało się postępowanie nauczycielów tej wszechnicy. I kto wie, czy nie w radach i wpływie stańczykowskiej partyi odnaleźlibyśmy pierwszą pobudkę, pierwsze ziarno i zawiązek nowej ustawy, na której swe znamię wycisnął nadto centralistyczny biurokrata i niemiec, pragnący cichaczem zapomocą słowian ukuć sobie na przyszłość maczugę ku zniszczeniu lub przynajmniej osłabieniu stowarzyszeń młodzieży słowiańskiej.

Przyjrzyjmy się tej ustawie w jej głównych zarysach.

Przedewszystkiem od tej chwili tak pozwolenie na nowy związek, jak i zniesienie już istniejącego zależy jedynie od ministra oświaty i to bez prawa apelacyi, podczas gdy dawniej wyrok Namiestnictwa mogło znieść orzeczenie trybunału administracyjnego. I tu leży niebezpieczeństwo, bo systemy i ministrowie się zmieniają, a zresztą i p. Gautsch może samowolnie i bez żadnej odpowiedzialności znieść np. wszystkie czeskie stowarzyszenia akademickie. Nadto tu najlepiej uwydatnia się owa wyjątkowość ustawy. Garść młodzieńców jakiegokolwiek zawodu ma prawo zawiązać stowarzyszenie na podstawie przepisów ogólnych; akademikom zaś jest to wzbronionem, czyli są oni w gorszem położeniu, aniżeli czeladnicy szewscy lub krawieccy. Następnie każde stowarzyszenie musi mieć jasno określony cel, bez zabarwienia społecznego lub politycznego; mogą do niego należeć wyłącznie studenci *jednej i tej samej* szkoły wyższej, a nadzór nad niem rozciąga senat zakładu, który za najmniejsze przekroczenie statutów posyła winnych przed sędziego. Ten zaś może skazać oskarżonych na 6 tygodni aresztu lub 200 guldenów. Jest to maximum kary, lecz jak na studenckie kieszenie olbrzymiej, podczas gdy areszt prowadzi za sobą usunięcie z uniwersytetu. Ustawa znosi instytucyę członków honorowych, czyli podkopuje byt materyalny wielu stowarzyszeń, ogranicza ilość członków zwyczajnych i niweczy wiele a wiele tak ulubionych w Czechach i prowincyach niemieckich stowarzyszeń śpiewackich, kółek muzycznych i gimnastycznych, do których wspólnie należą studenci uniwersytetu, szkoły technicznej i akademii sztuk pięknych. Wreszcie z kuratorów stowarzyszeń i z senatu wogóle tworzy rodzaj instygatorów, delatorów rzymskich, a ta okoliczność z pewnością nie przyczyni się ani do uspokojenia młodzieży, ani do podniesienia jej moralnego poziomu. Nakoniec oprócz mnóstwa innych mniej ważnych szczegółów, musimy zanotować jeszcze jeden paragraf. Oto władzy uniwersyteckiej służy prawo zakazu studentom należenia do innych ogólnych stowarzyszeń. Gdy więc weźmiemy za przykład specyalnie stosunki krakowskie, senat ma prawo wzbronić studentom zapisywania się do *Oświaty ludowej*, lub stowarzyszenia gimnastycznego *Sokół*, a zna-

---

2)

NIEŚMIERTELNE DUSZE.

II.

AURELI WISZAR

dramat w trzech aktach

W. Okońskiego.

(Dzieje się współcześnie w Krakowie).

SCENA III.

Ciż i Regina.

Regina.

Cóż to ja mam rozstrzygnąć? (*do Morskiego, podając mu rękę*). Witam pana.

Wiszar.

Pan Morski zrobił szarpinę z naszego planu dopuszczenia robotników do udziału w zyskach i twierdzi, żeśmy ten plan utkali z nici fantazyjnych, które rzeczywistość porwie i potarga.

Morski.

I kosztów tej tkaniny nie zwróci.

Regina.

Właśnie czytam pewne dzieło, którego autor bardzo dowcipnie rozdmuchuje w pył takie, jak nasze, mrzonki. Z jego strzał domyślam się, czem pan (*do Morskiego*) w nas godzi: żeśmy lunatycy, chodzący po stromych krawędziach przepaści; że oprzędzamy się fantazyą w idealne kokony, które nas uduszą; że ze słonecznych promieni chcemy skręcać złote sznury a księżycowe blaski — zgarniać z ziemi i przekuwać na srebrną blachę; że pragniemy przejść nietknięci przez piekło walki samolubstw człowieczych — czy tak?

Morski.

Tak, tylko pani jeszcze wymowniej, niż ja, określa to rojenie.

Regina.

Dobrze. A więc skoro się rozumiemy, proszę pana o wiarę, że cokolwiek nas spotka, klątwy za siebie nie rzucę, i że owo pragnienie nie przyszło mi się nagle, jako widziadło, lecz wyszło powoli z życia mojego, jako konieczność.

Morski.

To niepodobne do prawdy!

Regina.

To sama prawda. Dziś otacza mnie woń i światło szczęścia, ale kiedyś siekły duszę moją wichry okrutnego losu. Gdy zaś bezwinna znosiłam straszne bóle, na skargi moje odpowiadał mi jakiś tajemny głos, że cierpienie w górze społeczeństw jest zemstą sprawiedliwości pogwałconej na dole. Byłam uczciwą, miłowałam ludzi i ich dobro, a za to tylko, że nie pozwoliłam okradać się ze swobody, że nie uczestniczyłam w maskaradzie obłudy, że chciałam, ażeby życie moje, prócz ogólnego, miało swój własny ruch obrotowy — włóczono mnie językami jak rodzicielkę zarazy moralnej, jak siewczynię złych uroków, jak żniwiarkę trucizn, po najwstrętniejszych kałużach i wyrzucano za wały grodu cnoty.

Wiszar.

Nie wskrzeszaj tej ohydy, która już zgniła.

Regina (*do Morskiego*).

Za co ja pokutuję? pytałam zrozpaczona siebie. Za co pokutują ze mną duchem spokrewnieni? Może w soki życia naszego wsączył się jad krzywdy uciśnionych i przegryza je? Może trzeba przedewszystkiem ten jad wydzielić? Tak mniemam. Jeżeli wstrzymacie mnie w tem przedsięwzięciu

jąc niechęć, jaką żywią pewne sfery ku tym obu instytucyom, jesteśmy przekonani, że krakowscy profesorowie są w stanie tak, a nie inaczej postąpić.

W Radzie państwa, która 16 lutego podjęła rozprawy nad tym projektem, ugrupowały się stronnictwa dość dziwnie, a jednak zrozumiale dla znawcy stosunków austryackich. W pierwszym rzędzie, na czele rządowej większości, stoi Koło polskie, a na jego froncie mówcy: pseudo-liberalny Popowski, Madejski, Romaszkan i Michał Bobrzyński. Za polakami Władysław Rieger prowadzi staro-czechów, a ku nim ze swą chorągwią klerykałów pomyka Lichtenstein. Naraz, o wielkie bogi, i liberalny Herbst wraz z częścią lewicy bratnią dłoń podaje tym zaciętym wrogom, a *Neue freie Presse* śpiewa hymny pochwalne na cześć projektu, w którym widzi broń zabójczą przeciwko antisemityzmowi i jego propagandzie wśród studentów niemieckich. Z przeciwnej strony w jednym obozie znaleźli się nieprzejednani niemcy, antisemici, demokraci i młodo-czesi, którzy jedynie w tym wypadku ratują honor Słowiańszczyzny.

Koło polskie tedy daje się użyć za narzędzie do przeprowadzenia tej tak niebezpiecznej, bo obosiecznej i reakcyjnej ustawy, którą minister Gautsch nazwał powrotem do porządku — „zur guten alten Ordnung.“ A Kołu owemu nie pierwszy raz to się zdarza, że ściąga ono nietylko na siebie, lecz i na cały naród oburzenie ludzi wolnomyślnych duchów. Tak było przed paru laty z nowelą szkolną, tak jest i dzisiaj. Oliwy do ognia dolało cyniczne oświadczenie Bobrzyńskiego, że podobne stosunki, jakie ustawa chce wprowadzić, dawno w krakowskim uniwersytecie istnieją i wszyscy są z nich zadowoleni. Tak, profesorowie, o tem nie wątpimy, lecz czy naród odniesie kiedyś korzyść z młodzieży w ten sposób kształconej, dzisiaj twierdzić nie można. Czas to pokaże.

Zatwierdzenie projektu rządowego i sankcya cesarska obecnie są, niestety, rzeczą zupełnie pewną. Wreszcie nie czas i miejsce w tym krótkim artykule roztrząsać, czy i jaką może być swoboda młodzieży. Tę jednak atoli należy dodać na zakończenie uwagę, że jakimi są profesorowie, takimi bezwątpienia w większości okażą się studenci. Niech profesorowie uniwersytetów austryackich nie zajmują się polityką, niech nie gonią za mandatami, za posadami kolejowemi lub tekami ministeryalnemi, niech nie płaszczą się dla karyery, niech nie wycierają swych nazwisk na szpaltach sprzedajnych lub utrzymywanych dzienników, niech postępują w życiu tak, jak piszą, a nie wprost przeciwnie (przykładem Biliński i Bobrzyński), niech naukę uprawiają dla nauki, niech śledzą postęp i rozwój tej gałęzi umiejętności, której się oddają, niech zawsze na katedrze czy w życiu prywatnem strzegą godności nauczycielskiego zawodu, a wtedy i młodzież okaże się inną. Wtedy w tych młodych sercach zakwitnie znowu miłość do wiedzy, ochota i zapał do pracy.

A. N.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Turcya zrobiła, czego od niej żądano: złożyła urzędowne oświadczenie w Sofii, że wybór i rządy ks. Ferdynanda uważa za bezprawne. Oświadczenie to bardziej obchodzi Wiedeń, niż Sofię. Jakkolwiek bowiem upoważnia ono niejako rokoszan w Bułgaryi do sprzysiężeń i walki otwartej przeciwko Koburgowi i osłabia jego urok wobec narodu, silniej dotyka milczącą poręczycielkę weksłów politycznych księcia— Austryę. Podobno zapytała ona Rosyę o dalszy plan działania w Bułgaryi po usunięciu „przywłaszczyciela tronu“ i o sposób zabezpieczenia porządku w tym kraju. Na tej ostatniej kwestyi splątała się zgoda mocarstw, która bynajmniej szczerą nie jest i która pomału albo nawet szybko przejdzie w szereg waśni i nieporozumień. Zatarg jest zbyt złożonym i zbyt przeciwnymi interesami pokrzyżowanym, ażeby którejkolwiek stronie trudno było przytrzymać współzawodnika tym lub innym haczykiem. Nic też dziwnego, że przyspieszone na chwilę tempo narad dyplomatycznych wolnieje i powlecze się ruchem żółwim.

Opóźniają ten rytm dwie katastrofy, których świat polityczny oczekuje co godzina a które do przyszłości wprowadzą nowy czynnik zagadkowy. W San Remo następca tronu resztkami sił pasuje się ze śmiertelną chorobą a w Berlinie cesarz Wilhelm dobiega również kresu żywota. Lekarzom księcia nakazano milczenie, brak więc ścisłych określeń jego stanu; w każdym razie jest to stan bez nadziei. Pogłoska twierdzi, że dr Mackenzie stara się już tylko o przedłużenie życia następcy tronu po za oczekiwany skon jego ojca, ażeby żonie ks. Fryderyka zapewnić przywileje wdowy po cesarzu. W państwie, bądź co bądź, konstytucyjnym, jakiem są Niemcy, monarcha nie mógłby w ciągu kilkudniowych lub nawet kilkutygodniowych rządów dokonać ważnych zmian; mimo to stosunek między Bismarkiem a ks. Fryderykiem był zawsze tak zmącony, że znajduje wiarę wieść o zabiegach kanclerza ku przeniesieniu korony wprost z głowy dziadka na wnuka z pominięciem syna.

Nawet urzędowe wiadomości z Berlina nie kryją niebezpieczeństwa, grożącego życiu cesarza Wilhelma. *Reichsanzeiger* bez osłonek donosi, że choroba postąpiła znacznie, apetyt zmniejszył się, siły opadły. Ks. Bismark przebywa ciągle przy chorym monarsze, a jego obecność wskazuje, że tym razem nie jest to zwykły katar lub pośliznięcie się. Niektóre gazety gaszą wszelką nadzieję i wyłączają możliwość ratunku. Cesarz Wilhelm, chociaż owładnięty przez swego doradcę, wcielał w sobie pewien system, sięgający po za granice państwa i odbijający się w stosunkach zewnętrznych. Jego więc śmierć będzie dla Europy wypadkiem wielkiej wagi. W jakim kierunku oddziała na sprawy i liczne zagadnienia polityczne, czy przyspieszy, czy wstrzyma burzę wojenną — bez ryzykownych przypuszczeń orzec trudno, zwłaszcza dopóki przechadza się po San Remo jego prawowity, a — jak mówią — odmiennego charakteru następca. *).

Nikt nie wątpił, a my tem mniej, że starcie Koła polskiego w austryackiej Radzie państwa z rządem o podatek gorzelniczy przybierze postać dąsów łagodnych. Fabrykacya manekinów drucianych nie wynalazła dotąd sprężyn, wyrównywających ścięgnom posłów galicyjskich w szybkości zginania karków. Tam opozycya nie trwa długo, bez względu na to, czego dotyczy. Parę próśb, uśmiechów i łask, miska flaków wlana w kaptur krzyczącym *liberum veto* — i po oporze!

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

29 lutego.

W najruchliwszej części miasta, na Newskim Prospekcie, wznosi się kościół pod wezwaniem św. Katarzyny. Służbę przy nim pełnią dominikanie. Obecnie jest ich sześciu: jeden francuz, dwóch niemców i trzech polaków. Nowicyatu nie mają,

*) Nadeszła wiadomość, że cesarz Wilhelm umarł 9 marca rano.

(*do Wiszara*) nawet ty, najukochańszy mój, nie zestroisz nigdy strun duszy mojej w tony harmonijne i zawsze brzmieć ona będzie smutnym rozdźwiękiem.

Morski.

Ha, więc zginę z wami, kiedy inaczej być nie może. Zresztą nie wiele bym już życia oszczędzić zdołał. Zrobię, jak żądacie, ale pamiętajcie, że...

Regina (prosząc).

Nie groź pan.

Wiszar.

Dziękuję, sercem dziękuję.

Morski.

Do widzenia (*wychodząc*). W górę nosy, wspólnicy pana Wiszara!

SCENA IV.

Regina i Wiszar.

Regina.

Uległ nieprzekonany. Drwi z nas... Może i świat, ten wielki chór, który wybucha śmiechem w dramatach ludzkich, urągać nam będzie! Mnie to nie przeraża. I ty Aureli chyba nie znieważysz usiłowań naszych, gdy je życie połamie?

Wiszar.

Bądź tego pewna. Puszczam bez namysłu i obawy wszystkie życzenia moje w ślad woli twojej i o to tylko dbam, ażeby przypadkowo z nią się nie zminęły. Dojrzewałem w stosunkach innych, na tułaczce podróżniczej po puszczach afrykańskich, Europę ledwie musnąłem wzrokiem przelotnie, krajowi rodzinnemu dopiero od niedawna się przyglądam, więc ani pół godnych pracy, ani jej sposobów wcale nie znam. Ale wiem, że ile razy zbłąka mi się rozum lub uczucie, ty je zawsze na dobrą drogę wyprowadzisz. W miłości mojej dla ciebie mieści się wszystko, co czynami człowieka kieruje. Musisz mi przewodniczyć, bom pijany nią, odurzony, a gdy cię przy sobie nie widzę, doznaję zawrotu głowy, zataczam się, szaleję, wskakuje we mnie lew...

Regina.

Przecież ja cię nie opuszczam.

Wiszar.

O, tak, nie opuść nigdy, bo rzuciłbym się między ludzi wściekły i rozszarpywał ich, dopóki by mnie zabili.

Regina.

Toś ty jeszcze nie obłaskawiony?

Wiszar.

Przy tobie jestem łagodniejszy od nowonarodzonego koźlątka. Ale gdy w zeszłym tygodniu wyjechałaś na dwa dni, chodziłem po mieszkaniu wzburzony, czułem, że odzywa się we mnie dzika natura, że, jeśli nie wrócisz, ryknę, roztrącę tę klatkę mieszkalną i...

Regina.

Mój ty lwie drogi, powinieneś wiedzieć, że u nas małżeństwo jest związkiem trwałym i nie rozcina się kaprysem.

Wiszar.

Pamiętałem i tłomaczyłem sobie, ale mi to przekonanie jak najlotniejsza woń z głowy wietrzała. Ty może nigdy nie pojmiesz, jak ja potrzebuję cię widzieć. Co rano, otwierając oczy, wysławiam życie za to, że niemi ciebie zobaczę. Gdyby nie ty, bez smutku zamknąłbym je do skonu. Orzeł bardziej ode mnie nie boi się ślepoty. Sama myśl, że na mój wzrok mogłaby spaść zasłona i zakryć tę twoją piękność, jaką natura nie ozdobiła drugiego tworu... Ho!.. Ale ona nie będzie tak okrutną dla mnie, skoro była tak wspaniałomyślną dla ciebie. Ona mnie lubi, nieraz z nią jak z matką rozmawiałem w lasach i pustyniach...

w razie potrzeby brakującą ilość zakon uzupełnia z zagranicy. Przeora wybierają z liczby swych członków.

Przy kościele znajduje się dom, który przed założeniem do Towarzystwa kredytowego dawał dochód wcale pokaźny. Rządzi nim syndykat, składający się z trzech członków: dwóch obywateli i zakonnika-przeora. Świeccy syndycy są wybierani na trzy lata większością głosów parafian.

W kościelnym domu zdawna istnieją dla niezamożnych parafian dwie szkoły — męzka i żeńska. Do każdej z nich sporo uczęszcza dziatwy. Sieroty przy poparciu dobroczynną ręką przyjmowane są na koszt parafii; zresztą dla dziewczynek jest jeszcze inna droga — mogą być pomieszczone na stałe, za opłatą 250 rubli rocznie.

Długi czas te szkoły były w nader smutnym stanie. W pensyi żeńskiej uwagę zwracano przedewszystkiem na to, żeby panienki miały wygląd jak najmniej ziemski; w tym celu karmiono je — było nie umarły. Na przebudówki i poprawy domu dochód płynął w niezmiernej ilości, a cały porządek był tak wzorowy, jak przy budowie wieży Babel.

Wyraźny zwrot ku innym torom zaznaczył się zaledwie od dziesięciu lat, gdy na syndyków zostali wybrani pp. Z. i J., którzy orzekli, że szkoła powinna być nie gwarnem zbiorowiskiem dziatwy, lecz kształcicielką umysłów; a grosz społeczny należy też odosobnić, by nigdy nie stykał się z prywatnym. Jak się wzięli do rzeczy, w małych rozmiarach listu trudno odmalować, lecz... skończyło się na tem, że nie mogąc zniweczyć sił poziomu, obaj po kilku miesiącach złożyli trudny obowiązek, pozostawiając jedyną pamiątkę — księgę rachunkową, o czem dotąd nikt ani myślał.

Nowe wybory dały panów L. i B. Ci byli syndykami trzy lata, lecz wyraźniejszych śladów działalności nie zostawili. Po nich wybrano pp. G. i K. Pierwszy z nich energicznie wziął się do dzieła: osnuł, bezwątpienia przy współudziale innych, towarzystwo dobroczynności, podniósł szkoły, zwiększył dochody, zmniejszył wydatki, skutkiem czego okazało się, że ilość bezpłatnych wychowańców obojga płci może być znacznie powiększoną. Jedno zarzucają p. G., a mianowicie, że jest realistą: przedtem pensyonarki były wiotkie, blade, romantyczne; ich wklęsłe oczy zdawały się tonąć w zadumie; teraz zaś, przy innym pokarmie—rzeźkie, różowe, z połyskującemi oczętami — stały się zupełnie niepodobne do niebianek.

Tak było przed trzema laty.

Teraz rzućmy okiem na nowy czynnik w tej sprawie — mianowicie na redakcyę *Kraju*. W jej wnętrzu zakiełkowała żądza: stać się środowiskiem opinii i spraw bieżących. Żądza, jak widzimy, szczytna; któż bowiem jeśli nie literatura rozprasza mroki wieków? Na ostatnich wyborach syndyków (po pp. G. i K.) czynnikom skupionym w świątyni redakcyi udało się przeprowadzić jednego ze swych kandydatów; teraz zaś, na oczekiwanych wyborach w marcu, mają zamiar przeprowadzić obu. Kto są zacz kandydaci? Dotychczas nie wiemy. Lecz bezwątpienia kapłani Znicza, szerzącego światło i sługi owych sług znajdą ludzi odpowiednich zadaniu... gdyż zapewne mają na celu nie jakieś osobiste sprawy, lecz dobro ogółu.

A jednak są tacy, co lękają się Wajdelotów i zwracają oczy ku Towarzystwu dobroczynności, przyczem tak rozumują: Co zrobią nowi zapaśnicy—nie wiadomo, co zrobiło Towarzystwo — wiemy; czynniki redakcyi roztapiają się we mgle, nie dostrzeżesz żadnej wyrazistej postaci; Towarzystwo ma takich kilka.

U wejścia do świątyni dobroczynności spostrzegasz wyniosłe piramidy palm i kwiecistych krzewów, lecz nie zważaj na nie; są to tylko ozdoby nietrwałe i częstokroć sztuczne; idź dalej, a ujrzysz skromnie kryjące się po za niemi, główne kolumny, co podtrzymują sklepienie gmachu. Rzućmy okiem na jedną z nich, naprzykład na tę, która przedstawia znajomą już postać pana J.

Jest to kolumna szczerozłota, lecz zadziwiającej prostoty: ani jednej rzeźby *rococo*, ani jednego rysu znamionującego próżność: prawidłowe linie doryckie — oto jej cecha.

Przytoczyłem pana J., bom słyszał nieraz głosy pytające wzajem: Czy p. J. zechce wziąć czynny udział przy wyborze syndyków? czy naznaczy swych kandydatów, czy zgodzi się sam stanąć w ich liczbie?.. Pytania nader ważne, przyjmując na uwagę, że są jeszcze szczerby, potrzebujące dla swej naprawy życzliwej i umiejętnej ręki; np hygieniczna strona męzkiej szkoły dotychczas szwankuje. Mówiono mi, że podczas mrozów, gdy w klasach 16 stop. R., w korytarzach, dokąd dziatwa wybiega podczas rekreacyi, bywa około 8 stopni; na całym dużym korytarzu, oświetlonym prawie dziesiątkiem okien, ani jednego pieca.

Oczekujemy tedy wyborów z pewnym niepokojem.

W sobotę (25 lutego) w sali Dworzańskiej resursy odbył się bal na korzyść katolickiego Towarzystwa dobroczynności. Publiczność zalała dużą salę tak, że się prawie tłoczono. Osób było koło trzech tysięcy. Najpokaźniejszą liczbę stanowili przedstawiciele różnych zawodów, mniej było arystokracyi grosza, zaś rodowej prawie nie było. Zresztą, jeżeli jej cechą jest bezzasadna duma, nasza szlachta zasobna w grosz najdoskonalej wypełniła te luki.

A stroje pań? O bogini mądrości, co to za stroje!.. Porównywałem dwie suknie: jedną, która, podług słów jej właścicielki, kosztuje 40 rubli i drugą, o której szeptano w sali, że 4,000 za nią zapłacono—i przyszedłem do przekonania, że pierwsza ma więcej zalet: ładna, gustowna, zdobna w kwiaty i w porównaniu — tak tania!..

Cztery tysiące!.. a cały dochód z balu wynosi trochę więcej... Pytanie: jaki cel miała suknia tak droga?.. Jedyna pociecha — a nuż to nieprawda!.. Kto powiedział, że tyle kosztuje? Jeżeli właścicielka sama — przypomnijmy, że matka częstokroć przesadza wartość ukochanego dziecięcia. Jeżeli ktoś inny — skąd wie cenę co do grosza?...

Zresztą, wszystko są to drobiazgi; wogóle różnobarwny, iskrzący się brylantami tłum, piękne sprawiał wrażenie. Zdawało się, że jesteś wśród wspaniałego ogrodu, gdzie tysiące kwiatów pełnych wdzięku walczą o palmę pierwszeństwa.

Prawda, nie zbyt jarzące światło pomagało złudzeniu — tem lepiej!.. Czyż całe nasze życie, przesada w ocenie siebie, puszenie się — nie jest jednem wielkiem złudzeniem? Zabawką bezcelową, poniżającą godność człowieka?

N. B.

BADANIA NAUKOWE.

PRACA I ZAROBKI.

Stosunek pracy do kapitału, pauperyzm i środki zaradcze przeciwko niemu— wszystko kwestye, żywo poruszające umysły dzieci dziewiętnastego wieku — oto przedmiot książki Fawcetta, wydanej niedawno w przekładzie polskim *).

Autor jest zwolennikiem samopomocy ze strony klas robotniczych, udział państwa zaś w sprawie polepszenia bytu tych klas

*) Przełożył Ignacy Świętochowski. Warszawa. XLIX i 127. 1887.

Regina (*całując go*).

Znowu dziecjesz, uciekasz... do Afryki.

Wiszar.

Ja? Co ty mówisz, Regino?

Regina.

Kocham twoją miłość, ale kocham także moją ideę, o której zapomniałeś.

Wiszar.

Prawda! Przebacz mi... Co miałem zrobić?.. No, z robotnikami Morski ugodę przeprowadzi. Czy powinienem sam do nich pójść?

Regina.

Nie, ale chciałabym słyszeć, że na równi ze mną ta sprawa cię zajmuje, pochłania, rozgrzewa...

Wiszar.

Wątpisz? Zobaczysz, że będziesz jeszcze ze mnie dumna.

Regina.

I ojciec Makary.

Wiszar.

Ojciec mój?

Regina.

Sprawił mi niewysłowioną rozkosz. Dopuściłam się przed tobą małej tajemnicy, która teraz już jest zbyteczną. Zapytałam go piśmiennie o zdanie co do zamiarów naszych względem robotników fabryki—przysłał mi błogosławieństwo w tym oto liście, który dziś odebrałam.

Wiszar.

Daj mi święty papier (*czyta*): „Drodzy moi. Postąpicie zacnie, bo serca wasze są czyste i miłości pełne. Niech was wszelka dobra siła wspiera i oslania. I omyłka uczciwa, jak bezpłodna niewiasta, może za życia przyniosę światu korzyść, chodź z niego zejdzie bezpotomnie. Zacny czyn, jeśli nie zejdzie natychmiast, jak ziarno, pozostanie w ziemi i znalezionym będzie, jak cenny kruszec. Z waszych złotych myśli w każdym razie coś odpryśnie dla biednych. Wkrótce wyjadę na wyspy otaczające Madagaskar, do posiadłości angielskich, hiszpańskich i portugalskich, dla założenia stacyj misyonarskich. Zewsząd myśl wolną od obowiązku ku wam posyłam. Czemu moja Cecylia tak swój przypisek łzami zrosiła? Ja z oddali odgadnąć nie mogę, ale wy zbliska powinniście. Przecie mój Aureli zna siostrę. Kochajcie wszyscy nieszczęśliwego ojca, bo go miłość wasza żywi.“ Jak mu ciężko w tem oddaleniu od nas! Może mózgi w odwarach cywilizacyi europejskiej moczone nabierają jakiejś szczególniejszej mądrości, ale mój prosty i niezaprawiany nie zrozumie nigdy, czemu ojcowstwo ma być występkiem księdza, służącego Bogu, który je uczynił prawem całego stworzenia. Zakaz taki wymędrkowała chyba bezprzytomna głupota! Człowiek jest dumnym z tego, czego by się wstydziła małpa! Ach, Regino moja, coraz jaśniej widzę, jak słusznie zbuntowałaś się przeciwko uciskowi tej cywilizacyi, rozpartej na spróchniałym tronie, w płaszczu od krwi serc ludzkich purpurowym i szychami świecących pozorów oszytym! Jeżeli ja tu żyć miałem, ty narodzić się musiałaś!

Regina (*z uśmiechem*).

Los wpada czasem na pomysły doskonałe. Tak, jesteśmy sobą szczęśliwi a ja jeszcze i z tego rada, że ojciec Makary w ważnem przedsięwzięciu będzie duchem z nami.

Wiszar.

Co jest Cecylii?

Regina.

Któraż młoda kobieta kwiatu miłości łzami nie podlewa!

Służący.

Pan Kreisler starszy.

Wiszar.

Proś.

pragnie ograniczyć do zapewnienia im pewnego stopnia oświaty, oraz szerzenia pomiędzy niemi zamiłowania oszczędności i wstrzemięźliwości. Wszelkie przepisy prawne, zmierzające do regulowania stopy zarobków, uważa za nieprowadzące do celu, a nawet za szkodliwe dla samych robotników. „Przypuśćmy — powiada — że istnieje prawo zawotowane, stanowiące, iż zarobki mają być wszędzie powiększone o 20%. Jeżeli pracodawcy nie będą mogli powetować sobie tej różnicy przez podniesienie cen o takiż procent na produktach, rzecz oczywista, iż ta zwyżka zarobków spowoduje równoważną różnicę w ich zyskach, a bezpośredniem tego następstwem będzie ograniczenie produkcyi. Kapitaliści, upatrując mniejsze zyski, nie przestaną używać funduszów swoich na rzecz krajowego przemysłu. Wielka zatem część majątku narodowego wyjdzie z kraju, a znaczne korzyści w rozmaitych gałęziach przemysłu przypadną w udziale konkurentom zagranicznym. Będą oni na własnych naszych rynkach sprzedawali taniej, niż my, a przemysł krajowy i handel wywozowy, skutki tego dotkliwie uczują." Szkodliwem również i demoralizującem poniekąd mieni stawiane przez niektórych ekonomistów wymaganie, aby państwo dawało pracę pozbawionym jej robotnikom. Naprzód bowiem potrzebaby na to ogromnych funduszów, ktorych osiągnięcie wymagałoby pośredniego lub bezpośredniego podwyższenia podatków, a powtóre — i co najważniejsza — tego rodzaju opieka uniemożliwiłaby i zniechęciła wszelką inicyatywę prywatną i wprost zabiłaby wiarę w siły własne każdej z osobna jednostki.

Rozwijając te zapatrywania swoje, Fawcett wykazuje, że nic tak nie przyczynia się do poprawy materyalnego położenia robotników, jak przedsiębiorstwa, oparte na zasadzie spółdzielczości, czyli podziału zysków między pracodawcami i robotnikami. A że do przedsiębiorstw tej natury pierwsze utorowały drogę stowarzyszenia robotnicze angielskie, znane pod nazwą *trade unions* — szczegółowo zastanawia się nad ich organizacyą i skutkami działalności. Skutki te, zdaniem jego, bezwarunkowo są dobroczynne dla uczestników, z wyjątkiem jedynie bezroboci (strikes), które atoli są nieodłącznymi towarzyszami dzisiejszego systemu ekonomicznego, a zapobiedz by im można tylko przez usunięcie sprzeczności interesów pomiędzy jedną i drugą stroną. Ponieważ do takiego pogodzenia interesów, podług Fawcetta, powołane są przedewszystkiem zakłady kierowane zasadą spółdzielczości (cooperative stores), autor obszernie dosyć mówi o ich historyi i rozwoju, a w szczególności o pionierach z Rochdalu i bankach kredytowych Schultzego z Delitsch. W przeciwstawieniu wreszcie do tych instytucyj przytacza usiłowania tak zwanego socyalizmu państwowego i bliżej wyjaśnia znaczenie angielskiego prawa o ubogich.

Z pobieżnego przejrzenia treści powyższej łatwo przekonać się, że książka Fawcetta, a raczej pięć rozdziałów z obszerniejszego podręcznika ekonomii politycznej tegoż autora, nie zawiera nic nowego, ani nieznanego i że za usprawiedliwienie przyswojenia jej literaturze naszej posłużyć może chyba potrzeba zasilenia funduszów szpitala na Pradze, o czem w przedmowie swej wspomina tłomacz polski. Nic mamy nic przeciwko temu celowi — *res sacra miser.* Dlaczego jednak p. Ś. wybrał dzieło, które wypadło mu tłomaczyć nie z oryginału, ale z przekładu francuskiego i dlaczego przekład swój uważał za stosowne poprzedzić przedmową tłomacza francuskiego, stanowiącą blizko trzecią część książki i nie będącą niczem więcej, jak osnutą na jej tle luźną gawędką fejletonową — to już trudniejszem jest do zrozumienia.

Cokolwiekbądź nie możemy nie zwrócić uwagi, że ten *polski* przekład *angielskiej* rozprawy z *francuskiego* pociągnął za sobą nadwyrężenie czystości polszczyzny. Na dowód zaś cytujemy zwroty takie: „pieniądze z kapitału, mającego przeznaczenie *posiłkowania narodowemu przemysłowi*" (str. 11), „*zamiłowałyby* pewien stopień dobrobytu" (13), „*nie osłania* opieką *dzieci irlandzkie*" (17), „konkurencya zdoła *zrobić* swój wyrównawczy *skutek*" (31), „musi *partycypować* i pracodawca" (39), robotnicy *dostarczać* będą sami *kapitały potrzebne*" (43), „część kapitału użyto na *posiłkowanie innych towarzystw*" (47), „*trudno* wskazać *innej gałęzi* przemysłu" (61), że pominiemy już takie okropności językowe, jak częste powtarzanie tych samych wyrazów w jednem zdaniu, co zwłaszcza z zaimkiem „który" i słowem „utrzymać się" ma miejsce.

Ad. J. Cohn.

ODCZYTY NA OSADY ROLNE.

II—III.

Z kolei, dnia 28 z. m. wstąpił na katedrę publiczną prof. Łuczkiewicz, znany hygienista, obrawszy sobie za przedmiot pogadanki *Znaczenie medycyny i stosunek lekarza do społeczeństwa.* W zakresie pierwszej połowy zaznaczono, iż twórcą medycyny naukowej był grek Hipokrates, którego zasady ogólne i dziś jeszcze nie straciły doszczętnie swej wartości. Wogóle zaś Hellada cokolwiek inaczej zapatrywała się na lecznictwo: widziała w niem „sztukę" przywracającą organizmowi harmonię kształtów, siłę i zdrowie, które nadwerężyła choroba — był to zatem pogląd nawskróś zabarwiony estetyzmem klasycznym. Godność tej sztuki upadła jednak w arystokratycznym Rzymie, gdzie na równi z innymi zawodami, wymagającymi specyalnej wiedzy, była wyłącznym udziałem niewolników. Szkoda wielka, że dotknąwszy tego ciekawego stosunku, prelegent nie zatrzymał się na jego jaskrawej paraleli, do niedawna żyjącej śród naszego społeczeństwa a i dziś nie całkiem wygasłej. Gdy się odczytowi dajc cechę swojskości, jak to uczynił prof. Łuczkiewicz, pominięcie tak ważnego momentu zakrawa na poważne uchybienie.

W wieku XVI — wieku odrodzenia sztuk i nauk, zakwitło też na nowo i lecznictwo. Odtąd staje się przynależytością wszechnic, a w stuleciu bieżącem, dzięki nadzwyczajnemu udoskonaleniu przyrządów diagnostycznych i chirurgicznych, dzięki wielkiemu rozkwitowi nauk przyrodniczych, a zwłaszcza fizyologii — medycyna wzbija się do nieznanych wyżyn; zdobywa ona teraz jedną wielką prawdę, że nie lekarz ani leki uzdrawiają chorego, lecz własny jego ustrój, sama natura; lekarz z apteką są jeno pośrednikami, oddziaływującymi na czynności życiowe w ten sposób, by odzyskały utraconą energię i równowagę normalną; co zatem jest możebne dopóty, dopóki organizm jeszcze posiada zasób sił do własnego odrodzenia się. Ten to pewnik nauki stanął na gruzach wierzeń średniowiecznych, w gusła, czary, zamawiania, a także i żywotnej jeszcze homeopatyi. Dlaczego jednak prelegent zaliczył do szarlataneryi hypnotyzm — trudno pojąć. Można i trzeba odróżniać zjawisko i fakt od niepowołanych lub nietrzeźwych jego tłomaczów. Gdyby hypnozę uważano za rodzaj zamawiania, a Charcot np. uważał się za znachora — prof. Ł. miałby słuszność. Ale radzimy czytelnikowi dla sprostowania owego dziwnie płytkiego i nienaukowego sądu zajrzeć do pierwszego lepszego podręcznika hypnotyzmu lub do zeszytu *Revue philosophique* Ribota, a przekona się wnet, że hypnoza sprowadza mnóstwo zmian fizyologicznych (o czem zresztą mówił dr. Fabian) i tem samem *może* mieć

Regina.

Odejdę, bo ten żywy magazyn interesów męczy mnie swojem handlarstwem.

Wiszar (całując ją).

Pozbędę go się szybko.

Regina.

A gdyby tu przybyła druga część szanownej firmy, Kreisler syn, daj mi znać. Może on wie dokładniej, czemu Cecylia smutna (*wychodzi*).

SCENA V.

Wiszar i Kreisler.

Kreisler (wchodząc).

Dzień dobry. Po takim piecu, jak Afryka, pan może jeszcze chuchać. Ale ja... proszę patrzeć! Jak gdybym uciekł z gorącej patelni. Co to za piekielny skwar! Uf! Chyba dyabłom smoła na ziemię się wylała.

Wiszar.

Istotnie, nie czuję.

Kreisler.

Czy to stworzenie, co stoi wypchane w przedpokoju, stamtąd?

Wiszar.

Tak — pantera.

Kreisler.

Pojmuję, że tam zwierzęta, ubrane w futra, mogą być złe. Bóg powinien był obciągnąć ich perkalikami...

Wiszar.

Nie wiedział, że pan będziesz te tkaniny wyrabiał.

Kreisler.

Powinien był wiedzieć. Niedawno umarł bardzo pobożny kupiec, który brał ode mnie towary a pewnie poszedł do nieba, bo płacił. Eh, mój panie, bieda już i w perkal wlazła, wszędzie się rozpiera a jeszcze jej ludzie rękę podają. Dawniej pieniądz się mnożył, a dziś sam się zjada. Niedługo gęba stanie się wentylatorem, będzie zbierać powietrze dla płuc, ale żołądkowi nic nie da, jak pusty kosz młyński nie da kamieniom.

Wiszar.

I kto to mówi? Właściciel trzech fabryk, bogaty przemysłowiec...

Kreisler.

Wie pan, co to jest bogaty przemysłowiec w zastoju handlowym lub w przesileniach ekonomicznych? Jest to wielki żaglowiec na morzu śród bezwietrznej ciszy, którego wiosłami ruszyć nie można; jest to człowiek, który spada nałeb z większej wysokości, niż inni. Biedny w niepowodzeniu przewraca się lekko, jak królik, a zamożny ciężko, jak wielbląd. Teraz mogę się jeszcze objeść, ale nie wiem, czy za miesiąc moje zęby będą miały inne zajęcie, prócz zgrzytania.

Wiszar.

Za co pan sobie tą obawą tak dokuczasz?

Kreisler.

No, no, zobaczę, czy po otwarciu fabryki na pierwszy dreszcz długo pan czekać będziesz, zwłaszcza jeśli to prawda, co mi o zamiarach pańskich mówiono.

Wiszar.

Mianowicie.

Kreisler.

Że pan chcesz dopuścić swych robotników do wspólności w zyskach.

Wiszar.

Tylko?

Kreisler.

To mało? Czy pan dobrze pomyślałeś, co się z tej fantazyi urodzi?

Wiszar.

Nie przewidziałem tylko pańskiego, niedobrze obmyślanego pytania.

własności lecznicze; a jeśli ostrzegają przed jej zbyt pochopnem stosowaniem, to dlatego, że *istota tych zmian* po za ich symptomatami nie jest zgoła zbadaną.

Druga sprawa, w odczycie poruszona, właściwie dawno kwestyą być przestała. Prelegent podkreślił jej następujące momenty. W ostatnich dziesiątkach lat czuć się daje osłabienie ufności w lecznictwo i skargi na jej bezsilność, przyprawiane coraz częściej drwinami. Domniemaną przyczyną tego jest ogołocenie medycyny z tajemniczości i wielkie jej rozpowszechnienie. Tu zaczyna się istna *oratio pro medicis*, podnosząca szczytne posłannictwo synów Eskulapa i ogrom pracy oraz ich nauki. Całkiem przekonywającą była uwaga, iż mimo utyskiwań, a dzięki medycynie i siostrzycy, jej hygienie, śmiertelność w wielu krajach, jak Anglia, znakomicie się zmniejszyła i że nauki te bądź co bądź są ogromnem dla społeczeństwa dobrodziejstwem. Przyczyny pewnego upadku poszanowania dla lekarza są dwojakie: w nim i w samej publiczności. Nadprodukcya zawodu, widoczna nie u nas, gdzie tylko rozmieszczenie medyków jest nieprawidłowe, ale na Zachodzie, wytwarza sojusze z aptekarzami, felczerami, system lecznic, co wszystko odbija się ujemnie na stanie. Nadto bruździ bardzo i ogół, który w dorywczych swych o lekarzach sądach rządzi się niedorzecznymi względami, jak powierzchowność, temperament, stopień dystynkcyi; który zmienia ich jak rękawiczki, wyzyskuje częstokroć, oszukuje w stosowaniu się do przepisów, przyczem wina największa spada na kobiety. Wreszcie potrącił prelegent o sprawę honoraryum, napadając na jego łapówkowy charakter i doradzając system francuski i angielski: opłacania lekarzy klubowych i domowych.

W tej części odczytu dużo także było rzeczy banalnych, wiadomych nawet przeciętnym słuchaczom z okolicznościowych roztrząsań dziennikarskich. Natomiast tak doniosłych zagadnień, jak etyka lekarska, stanowisko kobiet w medycynie, co niejako samo lazło na język i naturalnie z programu wypływało — ani śladu. Ogólny zakrój wykładu był niewątpliwie popularny, pewnym dowcipem zaprawiony — i w punktach świeższych przez to zajmujący — ale tych punktów jakże było niewiele!

Zupełnie taki sam plan wykładu zachował gawędę przybyłego z krakowa prof. Mauryeego Fiericha o *Prawie i nauce prawa*, do tego stopnia, iż możnaby przypuszczać istnienie z góry nakreślonego obu prelekcyom — za wzajemnem porozumieniem — wzoru.

Wzór ten zresztą szczęśliwiej daleko odbił się na pracy gościa galicyjskiego; po pierwsze ze względu na daleko mniejsze rozpowszechnienie zasadniczych pojęć prawnych i całej zakulisowej sprawy prawnictwa i ustawodawstwa; powtóre dzięki temu, iż prof. Fierich nie zbaczał na drobiazgi, a trzymał się więcej faktów naczelnych, podstawowych.

Odróżniwszy prawo podmiotowe, przysługujące jednostce, od przedmiotowego, będącego ogółem norm obowiązujących w państwie, zajął się drugiem, jego teoryą i praktyką. Zaznaczył dwa źródła poznania ustaw: zwyczaje i kodeksy.

Prawo zwyczajowe jest właściwe niższym od współczesnego szczeblem cywilizacyi, jest ono zbiorem prawideł przekazywanych z pokolenia w pokolenie. Jednak i dziś, w wysoce uspołecznionej Anglii prawo zwyczajowe panuje jak dawniej i dumą napawa mieszkańców Albionu. Wierzą oni w nieomylność swoich sędziów, którymi, co prawda, bywają ludzie najwyższych zasług obywatelskich, a jednakże pozwalają następcom uzupełniać i zmieniać mądrość poprzedników — tem samem składając świadectwo niewiary w ową nieomylność. Mieli oni znakomitych prawa zwyczajowego znawców, jak Blackston, niemniej jednak zbadanie go przedstawia olbrzymie trudności, ze względu na wielkie nagromadzenie wyroków (1,500 tomów od czasów Edwarda II), którymi kierują się sędziowie. Nadto ten rodzaj prawa grzeszy formalizmem i zachowawczością; łączy się z nim świętość tradycyi, niechętna zmianom w duchu czasu i nowych potrzeb, na czem cierpiała niemało starożytna Roma, której dzieje są jedną długą walką prawa pisanego, pretoryańskiego z „prawem dwunastu tablic,“ streszczającem zwyczaje prawne przodków.

Nowsze czasy zrozumiały całą przewagę ustawodawstwa kodyfikowanego i wydały kilka wielkich systematów, jak kodeks Napoleona, kodeks cywilny austryacki i Landrecht pruski. Naturalnie, żeby stać się prawdziwem dobrodziejstwem, prawo pisane winno posiadać pewne niezbędne warunki, jak pewność i jasność, których wagę podkreślił już Bacon Werulamski. Praca ustawodawcza należy do najtrudniejszych. Wymaga ona gruntownej znajomości praw, polityki, spraw ekonomicznych i wszelkich stron pożycia społecznego, które ma regulować; musi godzić interesa wielu jednostek, a przytem nie korzysta z takich np. ulg, jak przyrodoznawstwo, mające do czynienia ze stałemi prawami natury, lecz rachować się musi ze złożoną i nieobliczoną kazuistyką woli ludzkiej i losu. Postulatem też pierwszorzędnej doniosłości jest dobra stylizacya — i pod tym względem niewiele ustaw wytrzymuje surową krytykę. Nadto każda nowa ustawa powinna brać w rachubę poprzednie i łączyć się z niemi w harmonijną całość.

Ustawa, ażeby spełniać przeznaczenie swoje, powinna mieć wykonawców sumiennych — i oto przechodzimy w sferę praktyczną. Wykonawcami są sędziowie i adwokaci. Stanowisko pierwszych jest nader ważne; oni bowiem, ferując wyroki, robią dopiero właściwy użytek z rozumu prawodawczego. Niektórzy nawet skłonni są widzieć w urzędzie sędziowskim dalszy ciąg pracy ustawodawczej. Jest to mylne o tyle, że wyrok jest dedukcyą nie produkcyą, ale i słuszna, wobec znacznej trudności stosowania praw i tych dopełnień do ustawy, jakie praktyka sądowa stwarza.

Rola adwokatów jest równie nie ladajaka. Zadaniem ich — pomagać sędziemu w rozpatrywaniu zawilszych wypadków, stronom interesowanym pomoc prawną dawać lub też pieniactwa odradzać. Już stąd widać, że wymiar sprawiedliwości tem jest dokładniejszym, im stan obrończy wyżej stoi moralnie i umysłowo. Wtedy też znaczenie ich społeczne jako znawców ustaw wzrasta do zaszczytnego bardzo poziomu, co zaświadcza wymownie przegląd dziejów prawnictwa. Dzieje te odsłaniają bowiem cztery wielkie tryumfy nauki prawa. Już w Rzymie, który wypracował wzorowe reguły, po dziś jeszcze bez rdzennych zmian obowiązujące we Włoszech i południowej Francyi, powaga prawników za cezarów była tak wielka, że mieli oni tak zwane *jus respondendi*, czyli prawo wydawania opinii z mocą obowiązującą — to tryumf pierwszy. Powtórzył się on w epoce glosatorów, którzy podjęli na nowo spuściznę Romy, zaprzepaszczoną i zaniedbaną przy rozkładzie cesarstwa rzymskiego i trwał aż do wieku osiemnastego. Wtedy rozwarła się przepaść między literą praw dawnych a duchem czasu i nauka, łaknąca reformy, przyjęła hypotezę jakiegoś prawa naturalnego, które daleko więcej uwzględnia wrodzone człowiekowi potrzeby i sprawiedliwość. Prawo to w istocie odrodziło zaskorupiałe w formułkach przeżytych społeczeństwo i pchnęło życie na nowe tory. Ale doszło ono z czasem do krańcowości w swem nowatorstwie i racyonalizmie, lekceważąc zupełnie przeszłość. Zwycięzki jego pochód zatamowała nauka ponownym, czwartym tryumfem — teoryą prawa historycznego. To ostatnie uznało życie prawne za jedną ze stron ogól-

---

Kreisler.

Niech ono pana nie obraża, bo usprawiedliwione długiem doświadczeniem. Pozwoli mi pan wytłomaczyć się?

Wiszar.

Jeśli to panu ulgę sprawi — proszę.

Kreisler.

Każda praca ludzka, ma swoją duszę. Otóż duszą przemysłu jest interes, korzyść materyalna. Nikt nie daje jałmużny dla zarobku i nikt nie zakłada fabryki dla jałmużny.

Wiszar.

Ale nikt też nie powinien jej zakładać dla wyzysku. I dusza przemysłu może być rzetelną.

Kreisler.

Czem pan sprawiedliwość zważy lub zmierzy w tak rozległem i złożonem przedsięwzięciu? Przypuśćmy, że obaj wtaczamy na górę jeden kamień — jak pan obliczysz, który z nas mocniej go popychał? Czemu pan dwu koniom, ciągnącym wóz, dajesz równo owsa— i to nie tyle, ile one chcą, ale ile im wydzielisz? Tu rozstrzyga wyłącznie walka interesów — mojego z pańskim przy kamieniu, pańskiego z końskim— przy wozie. Jakąż zaś pan możesz mieć korzyść w budowaniu fabryki, zrzekłszy się czystego dochodu na rzecz robotników? W najlepszym wypadku stracisz pan te zyski — co już będzie znaczną szkodą, ale w gorszym: — wywołasz przeciw sobie łączną obronę wszystkich przemysłowców, których interesy narazisz. (*Coraz bardziej podniesionym głosem*). Wtedy musisz pan zginąć, bo interes jest wrażliwszy, niż honor, on obrażać się nie pozwoli, on krzywdy swojej nie daruje, on się pomści, on jest nieustraszony i niemiłosierny.

Wiszar.

Ależ nie przerażaj się pan sam własnemi słowami, bo dla mnie nie każde zwierzę jest groźnem, które mruczy i ogonem po bokach bije. I ten więc straszny interes pański będę miał odwagę podrażnić.

Kreisler.

Zatem pan spełnisz swój zamiar?

Wiszar.

O ile będę mógł i umiał.

Kreisler.

Ha, skoro tego żądasz, staniemy przeciw sobie.

Wiszar.

Jestem gotów.

Kreisler.

Do widzenia. Czy to ostatnie pańskie słowo?

Wiszar.

Dodam jeszcze tylko, że mój interes przestałby być moim, gdyby słuchał uwag pańskich, którym oddałem już całą cierpliwą grzeczność, jaką posiadałem.

Kreisler.

Chociaż także mam papiernię, interes pański był po części moim, bo mój syn kocha pańską siostrę i właśnie został z nią w ogrodzie, ażeby jej to powiedzieć. Zgodziłem się na ten związek, ale teraz jestem mu przeciwny, skoro brat mojej przyszłej synowej sam się chce wysadzić w powietrze i pode mnie minę położyć.

Wiszar.

Ponieważ zaszczytu, jaki na mnie miał spłynąć przez siostrę od panów Kreislerów, nie mogę być godzien, więc proszę go w porę cofnąć całą firmą — za ojca i syna.

Kreisler.

Żegnam. Niech pan wolę swoją i moją raczy objawić sam Justynowi, którego głos w sąsiednim pokoju słyszę (*wychodzi*).

(D. c. n.).

nego życia społecznego organizmu, żądało liczenia się z historyą, zwątpiło o możności fabrykowania ustaw w gabinecie uczonego, przekładając nadeń nieświadomy rozum narodu.

Nauka i znajomość prawa jakkolwiek mogą być udziałem tylko uczonych fachowych, jednak nie powinny być całkiem obcemi społeczeństwu, jeżeli nie ma trwać dłużej stan dzisiejszy, w którym interesowani dopiero przed kratkami sądu, a więc po niewczasie zapoznają się z ustawą. Wogóle praktyka winna iść ręka w rękę z teoryą prawa. Ustawy działając na ogół, zarazem same jego wpływowi modyfikującemu podlegają. Konieczność syntezy pojmują dziś coraz wyraźniej, czego dowodem np. dwaj profesorowie z Lipska, którzy umyślnie gwoli niej zajęli się praktyką prawa itd.

Znamienne rysy odczytu: dobry ład, ładne uogólnienia, naukowość, mała dbałość o formę zewnętrzną — może zbyt mała.

Zarówno jak i poprzedni nie zapełnił on audytoryum. Rzecz przytem ciekawa! Tu i tam w publiczności przeważały żywioły odnośnych zawodów, obznajmione z tymi elementarnymi faktami, jakie prelegenci popularyzowali. Stąd dużo życzliwych oklasków, a mało ostatecznej dla ogółu korzyści...

N. H.

LITERATURA I SZTUKA.

DWIE PLAGI.

II.

Wiem, że dzięki *Prawdzie* masz już Byrona do syta, ale zaiste, czyż można w jakimkolwiek innym języku, a nie słowami jego prosić na drugie ciekawe widowisko? A więc:

Patrz, jak pismaków plemię tłoczy się
Na rewię, by wyrok swój usłyszeć!
Pegaza wychudłego każdy gna;
Wiersz rymowany z białym się ścigają,
Na odzie — oda, na sonecie — sonet;
Miarowe wiersze mkną—których nie zmierzysz!
Chciwa głupota lubi też odmianę;
Co dziwne i mistyczne — za tem tęskni,
Podziwia je, choć nie rozumie nic!

Ani jednego wyrazu dodać, ani jednego ująć nie potrafiłbym dla scharakteryzowania drugiej trapiącej nas klęski. Klęski? — błogosławieństwa raczej! — wołają powszechnie. Naród nasz stał się wybrańcem muz! Oh, biedne wszystkie te narody wybrane! Ażebyś jednak, czytając prospekt nowego czasopisma lub spis poetyckich utworów noworocznego jakiegoś premium, liczonych na setki niemal (*Życie, Kuryer warszawski, Kuryer codzienny*), nie pomyślał przypadkiem, że cię przeniesiono na prawdziwy Parnas — posłuchaj kilku, na chybi trafi przytoczonych urywków.

Pan Wiktor Czajewski, znany szeroko i daleko ze znakomitych studyów historycznych oraz głębokich bardzo konceptów polemicznych, napisał ogromną komedyę wierszowaną (str. 246) p. n. *Rzecz niedowiedziona, czy ogon należy do psa, czy pies do ogona.* Kiedy autora tak wielka i zasłużona poprzedza sława, płodów jego geniuszu lekceważyć nie wolno. W przekonaniu, że przedmiot komedyi musi być nader ciekawym, nie miałem cierpliwości zacząć czytania od głowy — i zacząłem od... ogona. Oto powód, dla którego treści — nie wątpię bowiem, że takowa gdzieś powyżej ogona znajdować się musi — opowiedzieć nie mogę, ale za to poczęstuję cię kilkoma wybornymi rymami:

Owoż Pasek, bohater, tak się oświadcza—bogdance zapewne:

Jak tu pięknie, *czysta* gospodarka wasza...
Tak mi się tu u waśćki podobała *pasza.*
Żebym za jedną strawę, jeśli masz dość *robót,*
Przyjął z najszczerszą chęcią u was służbę *do gód* (!!!)
Jeślibym zaś usługa nie niszczyła kasy,
To nie wymówiłbym się i na dalsze czasy — itd.

albo:

Doprawdy, miód aż miło... Wszak żadna kobieta
Człeka zawdy podwójnie za serduszko chwyta.

Przedziwny ten i tak zrozumiały toast jeden z biesiadników w zachwycie zwie „wykwintną oracyą.“

O smutne to sprawy! wykrzyknąć radbym, jak ów dziad kościelny z *Ballady.* Jest to pewnikiem logiki, że rozum zawsze i wszędzie podlega jednakowym prawom i jeden posiada rdzeń — czyż nie wypadałoby raczej klękać bałwochwalczo przed nierozumem, że tak rozmaite przybiera kształty. Takiego np. jak następujący nie wymyśli żadna fantazya:

Niech komu nadzieja ściele
Różanych fortun na myśl wiele,
Ja już będę tryumfował,
Bom moje szczęście stargował.

Gdzieindziej śmiech długi, całe wieki trwający, bywa nagrodą podobnych błysków natchnienia. Ile ust krzywi się od lat dwustu szyderstwem na wspomnienie takiej np. ody pewnego, szczęściem nie polskiego, wieszcza, poświęconej monarchini:

Jako krowa
Bądź mi zdrowa,
Jako łajna
Urodzajna!

a przecież to wartościowy, drogocenny nawet klejnot poezyi w porównaniu z *Rzeczą niedowiedzioną!*

Ale sięgam do skarbca ponownie i wydobywam ozdobiony wizerunkiem Ludwika II bawarskiego numer *Echa muzycznego*, a więc pisma, co się swem posłannictwem, specyalnie i wskroś artystycznem, szczyci — taką elegię p. t. *Legenda z Bergu:*

Na szczycie góry, w fantastycznej gloryi,
Sąsiednie gwiazdom stworzywszy ustronie,
W *Nirwanie* ducha i *fantasmagoryi*
Mieszkał poeta w koronie.

Otóż ten poeta „rządzić musiał w korony swej trudzie,“ czasami jednak „królewskie spychał rzemiosło,“ albowiem

Wolał rojeniem niebiańskiego szczytu,
Na jezior sięgać uroczym kobiercu,
Niż rozwiązywać zagadki wszechbytu
W filozoficznym weltschmerzu.
To nie był Hamlet, co piętnował śmiało
„Psującą państwo“ podstawę podziemną;
Ciemno w fantazyi, gdy w umyśle — biało,
Jasno w niej, kiedy w nim ciemno.

Nie — w tym umyśle musi być bardzo ciemno, chwilami żółto, niekiedy może zielono, ale w każdym razie straszliwie pusto. Nie — tam nawet pusto być nie może, a zagnieździć się musiała jakaś fatalna substancya, będąca połączeniem zuchwalstwa, niepiśmienności, odruchowego i bezwiednego powtarzania zasłyszanych kędyś frazesów, bo oto co głosi ciąg dalszy:

Stąd w *widma* świat swój *zaludnił* i larwy,
Stąd spór ze światem *de lana caprina,*
Nie mogąc ludzi w tęczy stroić barwy,
Ustroił w nie — Lohengrina.

. . . .

Homera wzrokiem błądził świata torem,
Chciał w Danta piekle śpiewać jak *Petrarcha;*
Jabo poeta był tryumfatorem,
Bezsilnym jako monarcha.

. . . .

Był król przed laty — dziejów potok wartki
Nie zatarł rysów Mecenasa — Pana;
Gmach chwiał się wielki, a on w głośne Czwartki
Poezyi badał *arkana.*

To niby Stanisław August. Doprawdy zawinił on historyi ciężko, ale gdyby jak Nero własną podpalał stolicę, lub jak Tamerlan zostawiał za sobą piramidy czerepów ludzkich, na taką profanacyę po śmierci nie zasłużył. Żaden też monarcha, a więc i Ludwik II, nie chciałby chyba rymować z *Petrarcha,* bo taka licencya w języku polskim przywodzi na myśl jeszcze jakiegoś *archa...*

A jednak redakcya *Echa,* rozporządzająca takiemi siłami, jak Kaszewski, Walerya Marené i im podobni, dbała o dobór poezyi i artykułów, obdarza szczególnymi, a dla nas niepojętymi względami tego samego rymoroba. Improwizował on „fantasmagorye“ z okazyi uzbrojeń europejskich (*Gałązka oliwna*), w rocznicę stuletnią wystawienia „Don Juana“ i inne, tak wyglądające, jak gdyby złośliwy jakiś współzawodnik-wydawca podsunął je *Echu* dla ośmieszenia epitetu „artystycznie.“ Radzę z serca dać dymisyę temu poecie-laureatowi, nadwornemu bardowi nonsensu i... umysłowej Nirwany.

Jeżeli tygodniki służą chętnie za domy zajezdne wszelkim gryzmołom, jeżeli pragną z samego Olimpu zrobić przytulisko dla półgłówków — to cóż dopiero rzec można o dziennikach, które ani czasu nie mają na rozmysł krytyczny, ani podlegają tak bardzo kontroli sądu publicznego. Im chodzi przedewszystkiem o rozmaitość treści, ich szata — to sukienka szkocka, pstrocizną swą wykłuwająca oczy. W to wątpliwe piękno stroją wszystko, nawet przeglądy polityczne, nawet sprawozdania z zabaw publicznych, nawet doniesienia wszelkich sylfów. Może dla biednego robotnika wiązanka rymów i stanowi przysmak; ale dla wielkiej masy czytelników średniowykształconych — prawdziwą szkołą bezsmaku, dla wyżej rozwiniętych—niesprawiedliwą torturą, dla piśmiennictwa wreszcie zakałą — są kwilenia na różne głosy, w rodzaju np. poezyi p. Or-ot'a

Wiem, że przytaczając kilka jego kompozycyj, dogodziłbym wielu czytelnikom, którzy oddawna zżymają się na nie — ale dzienników nie przechowuję. Zresztą każdy już od lat kilku napawa się tym fałszowanym miodem Hymmetu-góry i niejeden zawdzięcza mu mdłości — na co nowe wywoływać zgrzyty i pomruki? Mógłbym, co prawda, zetknąwszy się tak niedawno z *Światłami i cieniami,* zacytować z nich kilka górnolotnych strof o aniołach „kładących się do grobu jak greckie kolumny.“ P. Or-ot najmłodsze to dziecię ducha swego ochrzcił imieniem: *Typ dziewicy,* choć z równą zasadą można je było nazwać: *Grochem z kapustą,* lub np. *Pląsawicą*—byłoby to pono nawet właściwszem. Cechy charakterystyczne twórczości tego wieszcza są ogólnie znane: język tak górnolotny, że zdumiewać się wypada, iż nie łamie karku; jest to lot — jakiejś warszawskiej odmiany — Ikara, który gęsim smalcem przylepił sobie do ramion papuzie skrzydła i pragnie naśladować... orła. Nadto mniemałbym, że używając tych poezyj na szarady, redakcye śmiało mogłyby naznaczać za rozwiązanie nagrody, nie mniej kosztowne od całego cielca złotego — z pewnością zostałyby na wieki nieodgadnione.

Potrzeba-ż snuć dalej tę przędzę? Oszczędź mi roboty wstrętnej, jak badanie chorób sekrotnych. Azaliż przytoczonych okazów nie dosyć dla przeświadczenia siebie i innych, że i w państwie poezyi kiełkować zaczyna bezrząd? Gdyby to były objawy sporadyczne, oddzielone od siebie całymi miesiącami — nie zasługiwałyby na chwilową nawet uwagę. Ale to nasza strawa codzienna, lub jak mówi p. Czajewski „pasza“ — więc w ekonomii życia duchowego bez śladu nie przechodzi, i doprawdy hoduje ona w swoich konsumentach „poganiaczów“ że użyję wyrażenia tego samego „poety.“ Wierzę, że nie przejdzie ona do potomności ani przez usta lirników wioskowych ani w księdze literatury miejsca nie znajdzie — ale na współczesnych bez ujemnego wpływu zostać nie może. Już to samo, że ogólna suma tego rodzaju produkcyi z dnia na dzień wzrasta, świadczy, iż smak pomału się tępi, wy-

magalność maleje a zuchwałość nieprawych dzieci poezyi wzrasta. Niechaj kto zaliczy nawet do krainy piękna pisma takich autorów, jak Prażmowska, Bożydar i inni — którzy obok jałowej fantazyi mają częstokroć prawdziwie nadobny styl — to i wówczas jeszcze pozostanie brzękliwy rój truteniów, dożywotników łaskawości opinii, tak liczny, że można by się nim podzielić z całą Europą i drugą półkulą.

To nie gorycz i... zazdrość każą mi wzywać do boju z pasorzytami muzy — ale głębokie przekonanie, że kultura estetyczna, wyrobienie literackie ogółu pokutują za nie dotkliwie. Oto charakterystyczny dowód. W jednym z lepszych zakładów naukowych dla dziewcząt, panuje niepodzielnie żarliwy kult... Or-ota! On jeden nas rozumie—wołają panny, które za miesięcy kilka z ławy szkolnej przejść mają w świat — może na ślubny kobierzec, a może — co częściej się zdarza— oświatę pośród młodszych szerzyć. W każdym innym wypadku pocieszałbym się przysłowiem: *De gustibus non est... disputandum*, ale tu tkwi objaw, którego lekceważyć nie należy. Wiem, że młodzież żeńska praktykuje przeróżne brzydkie zabawy—ale tym zamążpójście kładzie zazwyczaj kres. Lecz zabawa w poezye, o jakich mowa, działają odrazu na mózg i uzurpują w nim na długo kącik, przeznaczony na rzeczy godniejsze pamięci.

A widać nietylko dojrzewające pensyonarki tak się rozmiłowały w Or-ocie, skoro zapowiedziano cały tom jego poezyj, skoro nawet p. Stankiewicz, inkwizytor niemniejszy od Sotera Rozbickiego doczekał się *drugiego wydania!*

Wbrew astronomicznym refleksyom p. Erazma Majewskiego wierzę, iż koniec świata — blizki.

Doprawdy, jeśli cud jakiś przechowa dla odległych pokoleń dzienniki nasze, tak pełne poetyckiej weny, jak niegdyś „igrzyska koryntckiego przesmyku, na które podążał Ibikus“ — nikt nie będzie chciał wierzyć zapewnieniom kronikarzy, że w lat trzydzieści po zgonie Mickiewicza, a współcześnie z Konopnicką, Asnykiem, Lenartowiczem, Gomulickim *czytano* i w jednych tłoczono książkach i *wychwalano* nawet (dowodem noworoczny numer *Życia, w całości* powitany chwalczo) — owady pstrzące tysiącami dwunacznych kropek bezbrzeżną krainę bibuły.

Cezary Jellenta.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

List mądrego chłopa. — Jego hypoteza statystyczna. — Jej sprawdzenie się w losach banku poznańskiego. — Zegar z zegarów i polityka leżących pod łapami niedźwiedzia. — P. Trębicki jako *deus ex machina*. — Jedyne rozwiązanie sprawy pomnika Mickiewiczowskiego.—Sztuczne wylęganie Prusa w *Kuryerze warszawskim*. — Humor z tłumaklem. — Dalszy ciąg oszczędności kolei Nadwiślańskiej.

Niedawno *Wiek*, który swych plebano-dworskich czytelników powołał do obradowania nad chłopem i drukuje złożone w tę urnę głosy, zamieścił list „włościanina,“ Jędrzeja Środniawskiego, pasiecznika z Piotrówki. Okazowy ten włościanin, który nietylko rozumuje logicznie, ale nawet sprowadza sobie na pomoc Supińskiego, broniąc swojej gromady, między innymi argumentami powiada: „We wsi żyją setki chłopów a pan jeden, zatem chcąc sądzić bezstronnie weźmy równą ilość ludzi — panów i włościan — a podobno nie tak źle wyjdziemy z tego porównania.“ Innemi słowy, autor żąda, ażebyśmy obliczyli np.: z setki „młodszych“ i „starszych“ braci ilu przesiaduje w karczmie i upija się (karczmę wziąć należy w znaczeniu najobszerniejszem). Nie radzę przeprowadzać takich porównań, gdyż mogłyby one poderwać filozofię obrońców „czoła narodu“ i rzucić dużo światła na jego stopy, które ze swemi juchtami i łapciami tak dumnie wysuwają się z obłoku poznańskiego, zakrywającego czarną chmurą szlachetne „czoło.“

Zaćmienie to obdarzyło Prusa prawem do bardzo krótkiego, ale za to bardzo smutnego jubileuszu. Przed rokiem wróżył on, że bank poznański niczego nie dokona i oto teraz przychodzi wiadomość, że tam, na szczycie góry ratunkowej, powstały „dwa projekty: pierwszy— aby towarzystwo banku rozwiązać, drugi — aby zastosować rozmiary jego działalności do skromnych środków i bodaj na małą skalę rozpocząć czynności, byle nie stracić wiary w możność ratunku.“ Watą wypchany i szczudłami podwyższony Herkules musiał — według Prusa — stanąć na tych rozstajnych drogach, gdyż społeczeństwu brak programu i prawidłowego podziału mienia, inteligencya tamtejsza jest leniwą, arystokratyczną i klerykalną. Niewątpliwie, znakomity fejletonista, przykładając rozpalone żelazo do naszych nerwów, dotyka istotnie zwyrodniałych, ale wiążą się one w pewnych ośrodkach, na które głównie działać trzeba. Inteligencya polska nietylko w poznańskiem jest rzeczywiście niezaradną, marnotrawczą, chorą na pańskość i fanatyzm, ale nawet z temi wadami, dołączywszy do nich biedę i siłę nacisku zagłady, możnaby osiągnąć poważne rezultaty, gdyby ona posiadała zdolność postawienia sobie jakiegoś programu i wykonania go. Jestem przekonany, że roje pszczół i zbiorowiska mrówek mają lepsze a zwłaszcza wytrwalej przeprowadzano plany działania społecznego, niż ten zlepek konfederacyj i sejmików, powstających i znikających jak bąble pokrzywowe, który się zwie narodem polskim, źle mówię — nie narodem, ale jego „czołem.“ Bo jeżeli chłopi postanowią rozkupić działkami jakieś wielkie dobra lub okraść las dworski, robią to niezawodnie z energią, spokojem i zgodą. Tymczasem „klasy ukształcone“ z pełnemi ustami szczytnych haseł, ze świadomością rozległych zadań i ogólnych potrzeb, z rozmachem „tysiącoletniej cywilizacyi,“ nie wiedzą, co mają robić, a jeśli wiedzą, nie umieją się spajać, organizować — ani w pracy, ani kradzieży. Na kradzieży niech ten paraliż pozostanie, ale z pracy należy go wyprowadzić, bo zniszczy cały ustrój. Jesteśmy jak zegar, którego kółka, złożone ze stu najrozmaitszych zegarów, pod naciskiem łańcuszka wag trą się, skrzypią i wyłamują swe tryby, posuwając skazówki po tarczy godzinowej tak fantastycznym ruchem, że często, gdy u nas przypada północ, u innych narodów południe. Stąd też w chwilach niebezpieczeństwa zdobywamy się na rozum banku poznańskiego: padamy twarzą na ziemię i zatrzymujemy oddech, nie tracąc nadziei, że niedźwiedź, wytarmosiwszy nam grzbiet z przyległościami i oddarłszy kilka płatów skóry, podepcze i odejdzie. Pod tym względem—naturalnie stosunkowo do swego rozwoju umysłowego—„młodszy“ przewyższa nieskończenie „brata starszego.“ Gdyby on zwołał swoich, a gromada postanowiła założyć bank ratunkowy, nie potrzebowalibyśmy z kądzieli dziennikarskich prząść dla niego „nici przewodnich“ i rozcinać takich, jak ów z inteligencyi poznańskiej zwinięty, potarganych kłębków obywatelskich. Czy nie prawda szanowny Jędrzeju Średniawski z Piotrówki? Powinniście o tem pomówić w *Wieku*.

I to także bieda, że panowie a nie chłopi zamierzyli postawić pomnik Mickiewicza. Już on by stał dawno. My, panowie, nie mamy nawet przybliżonego pojęcia, co z tego wielkiego hałasu wyniknie. Po wyroku konkursowym, a zwłaszcza po kolacyi, obiedzie i krzykach w prasie na benefis Godebskiego zdawało się, że jego projekt, przerobiony i obrany z rozmaitych geniuszów, zdobędzie uznanie ostatniej instancyi (nie pamiętam, który numer komitetu ją piastuje). Tymczasem nagle w *Kuryerze codziennym* i *Słowie* występują dwaj heroldzi, którzy ogłaszają, że nie Godebski, nie Rygier, nie Gadomski, nie uwieńczeni, ale czwarty, całkiem nieznany — p. Trębicki winien dać wzór na pomnik dla Mickiewicza. „Bo projektu — woła jeden — tak na wskróś swojskiego, tak mickiewiczowskiego, tak pełnego myśli i estetycznej piękności, jak ten, o którym mowa, nie dostarczono na żaden z trzech konkursów... Zgłębi duszy nazywam go znakomitym.“ Drugi nie wątpi, że po poprawieniu tego arcydzieła, powstałby „pomnik wielki myślą swojską i estetycznie piękny.“ Czy nie prędzej, czytelniku, spodziewałeś się śmierci, niż te, salwy? Więc już nam „z głębi serca“ wydarto Godebskiego i osadzono w niem Trębickiego, tego Godebskiego, na którego cześć p. J. A. Święcicki musiał powtarzać rymowany toast, tego Trębickiego, którego pracy nawet żadna z ilustracyj nie uznała za stosowne pokazać nam w szkicu rysunkowym? Gwałtu, co się dzieje! Nie, z tego błędnego koła, z tego odmętu rozumów nie ma innego wyjścia, tylko zdanie się na sąd chłopski. Niech Promyk zachęci swych czytelników w *Gazecie świątecznej* do zebrania składki i wysłania za nią do Krakowa trzech roztropnych gospodarzów; niech oni obejrzą projekty i poradzą, czy komitet ma ostatecznie wybrać któryś z modelów, czy też wyznaczyć nowy konkurs i przybrać do swego grona *Paradebauerów*, którzy zdobią wszystkie uroczystości c. k. galicyan. A być może, iż oni powiedzą: dajta jelemożni panowie pokój z konkursami, bo dyć pewnie wiecie, który kowal w waszej gminie lepsze motyki robi i który cieśla lepiej stodoły stawia.

Nasza konkursomania przypomina wybornie ślepą babkę tego rodzaju: kilka panien z towarzystwa rodzinnego zawiązuje sobie oczy i goni młodzieńców, którzy niby uciekają, a właściwie nasuwają się, gdyż karą na złapanych jest całus. W narodach liczebnie większych i cywilizacyjnie bardziej rozwiniętych, takie turnieje wywołują czasem świeżą zdolność, ale u nas, gdzie poetę, artystę, uczonego, wyciągają z kolebki lub ławki szkolnej i po próbie urwania łba gutaperkowej hydrze mianują bohaterem, gdzie wszyscy siłacze dojrzali i niedojrzali są policzeni i ponumerowani, konkurs staje się zwykle zabawką, grą towarzysko-dziennikarską. Do jakiego zaś stopnia jest nią, dowodem „konkurs nieustający“ *Kuryera warszawskiego* na kronikę. Pisywali ją dotąd pp. Konopnicka i Szaniawski, nie tem serdecznie wesołem i jedynem piórem, które posiada Prus a które nie tkwi w skrzydle ziemskiej gęsi, skąd każdy je wyrwać może, ale w skrzydle olimpijskiego orła, gubiącego je po szczytach dla wybrańców; były to wszakże fejletony zgrabne. Zwłaszcza mistrzowska ręka Konopnickiej, chociaż do potrącania strun liry poetyckiej nawykła i z nich najpiękniejsze dobywa tony, haftowała te obrazki zgrabnie. Czy *Kuryer* chciał zawiesić w swych kolumnach niemilknący dzwonek reklamowy, czy też — sztucznie wyląć Prusa, dość że urządził sobie cotygodniowy konkurs na fejletony, którym kanalizuje Warszawę piszącą z odpadków i odlewków, a swego ugoru nie użyźnia. Parę wydrukowanych dotąd kronik z konkursu powinno było przekonać redakcyę, że jeśli tą drogą ma przyjść do niej Prus, to jest on jeszcze bardzo daleko, co najbliżej po za drugą wojną europejską. Kpinkarzom i koncepcistom zdaje się, że *prusować* łatwo, trzeba tylko temu i owemu przyczepić popielcowy klocek i połechtać czytelnika tłustawym żartem, mrugnąwszy znacząco na „płeć nadobną.“ Niestety, nawet w tych drobiazgach nikt autora *Placówki* nie podrobi. Jest on jedyny w literaturze naszej a gdyby nie nakładano i— co gorsza — gdyby on sam nie nakładał

[i]umnika na swój śmiech, z pod jego pióra tryskałyby kaskady nieporównanego humoru. Tej miary talent powinien mieć przywileje szerszej swobody. Tymczasem zajadło przeciw niemu wyprawy o byle dowcip, a nadewszystko jego własna wstrzemięźliwość, ażeby nie obrazić jakiegoś literackiego kuma, których ma bez liku i nadmiernie czułem sercem obdziela, krępuje go widocznie. Prasa mniej zaściankowa, mniej parafiańska i — dodajmy na jej obronę — mniej smutna, niż nasza, dałaby mu dyspensę, tak jak ją dała wielu znakomitym fejletonistom za granicą. Gdy o tem pisać nie wolno, a o tem nie wypada, gdy tu stoi surową miną Paweł, a tam z jeszcze surowszą Gaweł, gdy każdo dotkliwsze draśnięcie kmotra sam sprawca odbolcje — którędy wysączyć się może tyloma korkami zatkany humor? Stąd też Prus daje mu zbyt częste ujścia w niewinnych figlach i pustotach, w dowcipkowaniu brukowem, w poważno-wesołych wywodach ekonomicznych, w których jego muza z fartuchem u pasa gra rolę gospodyni, szafarki lub praczki.

W ostatnich tygodniach zajął on stanowisko, którego albo unikał, albo na nie jedną nogą tylko wstępował — stanowisko szczerze liberalne. Naturalnie posunięcie się ku tej stronie pisarza, którego liczymy do najznakomitszych we współczesnej literaturze polskiej, sprawiło nam wielką przyjemność. Nie jest on przez to „naszym“ i prawdopodobnie pozostanie niczyim; ale gdyby wyprowadzenie się ze starej chałupy i osiedlenie się w nowej miało go pociągać częściej ku nowemu prądowi myśli, uważalibyśmy tę zmianę mieszkania za bardzo dobroczynną dla jego pięknego talentu.

Jakże się poleca jego pamięci wspaniale rozwijany system oszczędności na kolei Nadwiślańskiej! Każdy niemal dzień zdobi ją cennym klejnotem. Między Otwockiem a Pilawą, młody chłopiec, syn dróżnika, idąc torem kolejowym spostrzegł odkręconą szrubę i przedział między szynami. Za chwilę miał nadjechać pociąg osobowy. Janek Przybysz, zrozumiawszy niebezpieczeństwo, biegnie do sąsiedniej budki, chwyta chorągiewkę i zatrzymuje odpowiednim sygnałem parowóz. Niewątpliwie wiele ludzi ocalił od śmierci i kalectwa a oszczędny zarząd drogi od strat w zgruchotanych wagonach. I jakże go wynagrodzono? Dano mu 10 rs. Szczodra ręka. Janek Przybysz niewątpliwie zachowa się roztropnie w każdym podobnym wypadku, bo w wagonach i na lokomotywie znajdują się ludzie; ale gdyby nie wzgląd na nich, z pewnością, dostrzegłszy niebezpieczeństwo, powiedziałby sobie: a niech zobaczą, ile ich kosztować będzie ta wykręcona szruba.

Ubiegły wszakże tydzień przyniósł nam jeszcze ładniejszą perłę oszczędnościową. Zarząd kolei Nadwiślańskiej (według *Kuryera codz.*) rozesłał do podwładnych następujący okólnik: „Z powodu *zwiększonej* czynności w wydziale konserwacyi drogi, zarząd zmuszony jest *podwoić* ilość godzin pracy i skutkiem tego poleca urzędnikom tegoż wydziału przybywać codziennie do biura punktualnie o godzinie 7 wieczorem, a to dla szybszego załatwnienia papierów zaległych. Zajęcia powyższe trwać mają do godziny *11* w nocy. Osobna dopłata za ową dodatkową czynność wymaganą być nie może. Niestosujący się do powyższego rozporządzenia ulegną karze.“ Więc naprzód wypędzono wielu urzędników pod pozorem, że nie ma dla nich zajęcia; teraz „z powodu zwiększonej czynności“ — „podwojono ilość godzin pracy“ i nakazano przedłużyć zajęcia do godziny 11 w nocy bez dopłaty. Czy okrutnym twórcom tego okólnika nie przyszło na myśl, że ich inwentarz żywy składa się z ludzi ograniczonej siły i wytrwałości, że nawet zwierzę pociągowe z końcem dnia wraca do stajni i obory, a człowiek ma prawo wrócić do rodziny? Państwo już ustanowiło inspektorów fabrycznych, strzegących robotnika od wyzysku przemysłowca; tacy inspektorowie rządowi są niezbędni na kolei Nadwiślańskiej do wytaczania procesów dyrekcyi o przeciążanie pracą urzędników. Byłoby to jedyne lekarstwo na tę żarłoczną „oszczędność.“ *).

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Spółka dzierżawców z właścicielami ziemskimi.— Jak się robią produkty zagraniczne z krajowych? — Bezkarne oszustwa. — Pieniacz herbowy. — Różne gatunki szumowin. — Przytułek dla dziewcząt zaniedbanych i przestępnych.—Nasz zapał i obojętność.— Historya wędlin.

W ostatnich czasach ogólną uwagę w świecie rolniczym rozbudziły sprawy dzierżaw, z których skwapliwie zaznaczam w pamięci każdy szczegół nowy. Dotychczas jednak nie mogę sobie przypomnieć faktów, tchnących postępem i sprawiedliwością. Dopiero *Gazeta świąteczna*, pośród szarych szczegółów życia rzuciła jasny promyk. Ale gdzie go znalazła? Może myślicie, że na pograniczu z Zachodem? Nie! Tylko na zapadłem Polesiu wołyńskiem. Słuchajcie, czytelnicy, w jaki sposób urządzono dzierżawy w dobrach Krymnie (pow. kowelski). Właściciele utworzyli kilka nowych folwarków, małych osad dla ubogich rolników. Dzierżawca może je objąć na następujących warunkach: nie płaci posiadaczowi ziemi pieniędzmi, tylko obowiązany jest oddawać mu trzeci snop zboża, trzecią kopę siana i szóstą miarę roślin okopowych. Nadto opłaca dwie trzecie podatków i ubezpieczenia ogniowego. Opał i materyał drzewny dostaje darmo z lasu, w którym też może korzystać z pastwiska. Tem, co rośnie w ogrodzie, ani koniczyną, zielonym nawozem w płodozmianie, ani dochodami z chowu bydła nie dzieli się wcale. Przy takiem urządzeniu dzierżawca jest jakby wspólnikiem właściciela. Korzyści zaś ma wielkie: płaci z dołu i to częścią swych plonów, więc nie będzie zmuszony spieszyć się ze sprzedażą zboża za bezcen, aby na termin uiścić należność z góry. Mniej ryzykuje w razie nieurodzaju lub zbyt niskich cen. Posiadając mały kapitalik w bydle, narzędziach rolniczych, nasionach i trochę gotowego grosza (wartości 6—7 rubli na każdy mórg pól ornych), może mieć dwa razy tyle dochodu, co właściciel, naturalnie jako owoc bezczynności tego ostatniego, a pracy własnej. Dzierżawca oszczędny, mając żonę praktyczną, łatwo się utrzyma z rodziną z ogrodu warzywnego i gospodarki kobiecej — nabiału, drobiu itd. Na nasiona, opłatę czeladzi i robotnika wyda nie więcej nad wartość trzeciej części plonów przy średnim urodzaju. A więc czystego zysku zostanie mu jeszcze trzecia część urodzaju zboża i traw. Świetnie to się przedstawia, ale sądzę, przy nadzwyczaj sprzyjających tylko warunkach. I w razie przeciwnym pracownik na cudzym gruncie jeszcze nie utonie przy następującej umowie: właściciel związuje się z dzierżawcą na lat dziesięć i jeśli widzi, że ten ostatni gospodaruje dobrze, jest wypłacalny, to pragnie z nim być w takiej spółce jaknajdłużej, a po upływie terminu chętnie umowę odnowi, w razie zaś klęski może brać swoją tylko część z tego, co dały pola i łąki. W równym stopniu wspólnicy powinni dbać o dobry urodzaj. Dlatego też właściciel w Krymnie obowiązuje się zwracać dzierżawcy połowę słomy z własnych snopów zboża. Nadto pozwala brać torf z rowów przy łąkach, co razem idzie na powiększenie ilości nawozu. Posiadacz stawia ważny warunek — zaprowadzenie dobrego płodozmianu.

Pozazdrości zapadłemu kątowi Polesia niejeden biedak, co ostatni grosz i siły swe kładzie w rolę wynajętą, aby w razie jednorocznego niepowodzenia oddać prawemu posiadaczowi wszystko, co przez długie lata zapracował. Na zachodzie i południu Europy spółki, jak powyższe, od dawna istnieją ku obustronnemu zadowoleniu i korzyściom. U nas kwestya dzierżaw zaczyna wywoływać walne narady ziemian. To dobry znak! Jak się odbędą setki posiedzeń, napiszą stosy rozpraw moralno-praktycznych dla dzierżawców (w rodzaju katechizmu dla oficyalistów), wtedy... może się wykluje jaki nowy talent, podający nieznane sposoby wydzierżawiania ziemi. Pociągną doń zastępy ciekawych, aby... sławę jego roznieść po kraju. Tymczasem trzeba się zadawalniać obecnym porządkiem rzeczy. Posiadacz gnieciony staje się ciemiężcielem praw fizycznych, a więc udziela tego gniecenia jeszcze dotkliwiej pracownikowi, płacącemu za rolę czynsz z góry. Możeby się z pod tych praw starano wyłamać, gdyby w mózg szlacheckiej wrosło zdanie jednego z rozsądnych: „Dzisiaj oznaczać na czas dłuższy opłatę dzierżawną w gotowym groszu, znaczyłoby to samo, co wytaczać sok z drzewa, które powinno przez wiele lat wydawać owoce.“ To wytoczenie soków, niestety, tak jest wielkie, że sprowadza bladaczkę szlachecką, rozleniwiającą umysł i wolę. Najsprytniejszymi cyrulikami są cudzoziemcy. Korzystali oni długo z podatności swych ofiar. Tak np. kupowali chmiel na miejscu za 5—10 rs. a potem sprzedawali go również na tem samem miejscu jako *bawarski* za 30—35 rs.! Szłoby tak do nieskończoności, gdyby się nie otwarły oczy obywatelowi wołyńskiemu, p. Gneisowi (u nas najczęściej otwierają się oczy posiadaczom nazwisk obcych), który przeraziwszy się strzyżeniem owiec przy samej skórze, wydał w dziennikach silny bek z wtórem p. Przybyla (nazwisko czeskie), właściciela sortowni chmielu. Otóż z tego alarmu dowiedziałem się, że spekulanci nie zadawali sobie nawet trudu zmieniać worki z cechami i numerami plantacyj krajowych. Doprawdy, lepsza zabawa, niż dwóch malców przy misie, z których starszy każe młodszemu oddzielić łyżką swoją połowę mleka i czekać aż sam zje. Nasi dojrzali umieją także przegradzać łyżką i dziwić się, że misa została pusta. A oto druga próbka. Właściciel pewnego majątku (pisze *Tydzień* piotrkowski), *cudzoziemiec*, zakupuje w okolicy dużo żyta, jęczmienia, kartofli i przerabia je w własnych fabrykach w tymże majątku. Pomimo niesłychanie niskich cen, pan X. stara się jeszcze w inny sposób wyzyskać krytyczne położenie ziemian, obrywając na wadze, np. z 10 korcy kartofli robi się 6 lub 7. Tracą na tem i włościanie, przywożący produktów nie ważą, ślepo wierząc w rzetelność „fabryki.“ Wszelki protest pokrzywdzonych pozostaje bez skutku, a od kwitu z wystawieniem wagi fabrycznej niema apelacyi. Nie dość tego! P. X. pod pozorem taniości zboża zniżył płacę swym robotnikom o 10%. Jeden z wyzyskanych solennie zapewnia, iż prawdziwość tych szczegółów może zaświadczyć każdy z obywateli mających stosunki z niecnym spekulantem. Nie rozumiem delikatności w okrywaniu pseudonimem *iksowym* szachraja. Wszakże dla przestrogi dobra nieświadomych niezbędne jest zdarcie maski.

Ale przynajmniej i swoim, co się należy. Korespondent *Gaz. rolniczej* z Wołkowyskiego uskarża się na „złe przykłady, dawane z góry, zarażające maluczkich.“ Właściciel większej własności podaje chłopa do sądu za wzięcie garstki torfu z nasypu nad rowem i żąda za to *trzydziestu rubli*. Pomimo płaczu, przeprosin winnego i przyrze-

*) Nazwisko naczelnego lekarza i jedynego obrońcy kolei Nadwiślańskiej mylnie w poprzednim numerze wydrukowano: zamiast Laskowski, czytać należy *Lasocki*.

czenia *sześciu dni* sprzężajnego odrobku, *pokrzywdzony* nie dał się przebłagać.

To jest poszukiwanie strat na kimś. O innym rodzaju *poszukiwaniu* opowiada *Kuryer warsz.* Przed kilku tygodniami córka jednego z przemysłowców tutejszych poślubiła zrujnowanego właściciela dóbr w Łomżyńskiem. Posag miał doprowadzić do porządku interesy męża, ale przedtem dla podtrzymania splendoru należało odbyć podróż za granicę. Nowożeńcy pojechali do Paryża, a później do Monaco. Tam w panku odezwała się dawna żyłka szulerska. Spróbował szczęścia przy rulecie i w ciągu trzech dni przegrał całą gotówkę, 10,000 rs., posiadaną na podróż. Zatelegrafowano o środki na powrót, lecz i te (1,500 fr.) stopniały. Powtórzyło się to trzy razy, aż wreszcie ojciec panny młodej sam się zjawił i zabrał ją do Warszawy. Małżonek zaś pozostał za granicą, „aby stracić resztki niegdyś poważnej fortuny.“ Wieleby ten zadał trudu, ktoby chciał oddzielić śmietankę od najzwyklejszych szumowin. Pierwsza pozostała w herbach i czczeniu wielkości rodowej z potęgą wzrastającą w stosunku odwrotnym do zniżania się moralnego, drugie — aż do obrzydzenia i zbytku zalewają nas na każdym kroku. Boję się, aby z czasem nie były tak popularne, jak stała rubryka reporterska *Kuryera* p. t. „szumowiny społeczne.“ Możnaby pod to miano szerokie podciągnąć bardzo wiele, ale my jesteśmy dobrze wychowani, więc tylko co najpodlejszego w *niskich* warstwach, piętnujemy szorstko. Odpadki zaś sypiące się z wysoka traktujemy grzecznie i wybieramy dla nich najdelikatniejsze i najmniej rażące ostrością tytuły. Np. gdy oberwaniec połakomi się na cudzą własność, zawołamy: *złodziej ukradł*! Gdy przyzwoicie ubrany to samo zrobi, mówimy delikatnie: *defraudant zeskamotował.*

W czasach ogólnego zastoju w przemyśle tylko jedna gałąź cieszy się powodzeniem i nie znajduje przeszkód: handel dziewczętami. Odbywa się to w dzień biały bez opłacania patentów i cła. Bo cóż łatwiejszego przemycać, jak młodą dziewczynę! Matrona poważna opiekuje się w drodze niedoświadczoną trusią, a ktoby chciał je śledzić, popełniłby najwyższą niedelikatność i bezprawie. Należałoby wydelegować psychologów i fizyognomistów wytrawnych, ale i ci nie mieliby odwagi bawić się w *odbijanego* dla ocalenia niewinnej istoty, bo pomimo fachowych zdolności, można się czasem omylić. Tej drażliwej materyi jeszcze nie zdolano ubrać w formy prawne, więc rzeczy okropne uchodzą bezkarnie, chyba w razie jawnych poszlak bywają karane. Niedawno do warszawskiego wydziału śledczego zgłosiła się niejaka Bronisława Konopińska i zeznała co następuje: W roku zeszłym we wrześniu zaczepił ją na ulicy młody żyd Morytz, który widując ją w chórze teatrzyku „Eldorado,“ zaproponował miejsce w teatrze wileńskim. Dziewczyna zgodziła się. Agent zawiózł ją do swej „kuzynki“ w Wilnie do czasu otrzymania posady. Po kilku dniach nieszczęśliwa dowiedziała się, iż ją sprzedano za 300 rs. Nic pomogły łzy i błagania, chórzystka stała się pastwą gości. Dopiero w zeszłym miesiącu, korzystając z chwilowej nieobecności zwierzchniczki, uciekła do Warszawy. Na mocy jej zeznania szajkę zbrodniarzy pociągnięto do odpowiedzialności karnej. Dotąd nietylko że nie mamy, lecz najmniej myśleliśmy o instytucyi ratunkowej dla dziewcząt ubogich, narażonych na niebezpieczne pokusy. Bydlę katowano znajdzie obrońcę w członku opieki nad zwierzętami, kobieta zaś może być spoliczkowaną przez lowelasa za odrzucenie brudnej namowy, (jak to niedawno się zdarzyło w jednem z miast prowincyonalnych) i łotr uniknie łatwo odpowiedzialności, jeśli to będzie zdała od budki policyjnej. Towarzystwo osad rolnych okazało ogółowi świadectwo prawdziwych uczuć miłosierdzia projektem urządzenia stałego przytułku dla dziewcząt zaniedbanych i przestępnych. Na ten cel urządzono już w Warszawie dwa koncerty. Czy społeczeństwo nasze również odwzajemni się takiem świadectwem — zobaczymy.

Jeśli się mamy szczycić różnorodną zasobnością, to chyba najpierw bogactwem kaprysów i niespodzianek. Raz możemy zapłonąć silnym ogniem ku aszantom lub zulusom, to znowu patrzeć obojętnie na własną nędzę. Albo wyprawiać poselstwa do Teheranu, a zupełnie zapomnieć o wiele obiecującej Hiszpanii. Był czas, kiedyśmy się interesowali sprawą wywozu spirytusu do tego kraju, cieszyli się wzrastającym alkoholizmem na południu. Obecnie proszę podziwiać! Wystawa powszechna w Barcelonie będzie otwarta 1-go kwietnia, dotąd wszakże *ani jedna* firma nasza nie zdradziła chęci wysłania tam swoich wyrobów, pomimo, że można korzystać z bezpłatnego przewozu towarów w tym celu morzem na statkach ruskiego towarzystwa żeglugi parowej i handlu, tudzież bezpośrednich komunikacyj przez Odesę. Minie sposobność, wtedy zaśpiewamy znamienne przysłowie o polakach i szkodzie, a swoją drogą z zawiązanemi oczami może powieziemy mięso do Australii, bo stamtąd przysyłają je zamrożone w wielkich partyach do Francyi. Żart na stronę, kto wie, czy się nie znajdzie taki ochotnik po niefortunnej historyi z szynkami. Przywidziało się czy przysłyszało garstce niepowołanych przedsiębiorców, że Paryż pożera niezmierzoną moc wieprzowiny. Dalej więc jazda co żywo! Wyprawiono pospiesznymi pociągami wędliny i sprzedano je... na licytacyi. Okazało się, że olbrzymie firmy miejscowe zbywają ten towar taniej, niż kosztuje dostawa z Królestwa z opłaceniem różnych podatków, patentów itd. Z nami tak zawsze!

Drogomir.

PRASA RUSKA.

Nowoje Wremia pisze:

„Kwestya stosunków rusko-polskich przez samą siłę okoliczności występuje na szerszą widownię w prasie politycznej. Jedno z pism polskich *(Kraj)*, dotknąwszy owej kwestyi, wyrzekło, że wybitną cechę tych stosunków stanowiły wzajemna nieufność i podejrzliwość, które doszły do olbrzymich rozmiarów w ostatniem dwudziestopięcioleciu i że zresztą niedaleką już jest chwila, gdy wszystkie gawędy o wszechpotężnej „intrydze polskiej“ staną się anachronizmem, widocznym dla każdego.

Trzeba jednakże przypomnieć owemu pismu, że przytoczone przezeń przykłady dopatrywania „polskiej intrygi“ w różnych większych lub mniejszych nieszczęściach Rosyi odnoszą się do przeszłości dalekiej, gdy świeże jeszcze wspomnienia pewnych wypadków dawały owym podejrzeniom podstawę, lub je przynajmniej usprawiedliwiały. Pismo polskie przyznaje, że i Katkow w ostatnich latach spokojniej już zapatrywał się na polaków, nie zgadzał się na Bismarkowskie: *cherchez les polonais*, gdy chodziło o wykrycie burzycieli porządku w Europie. Możnaby dodać, że znakomity publicysta i dawniej jeszcze starał się sądzić polaków beznamiętnie, o ile na to pozwalały jego pojęcia o jedności i całości Rosyi.

Co do nas ważną jest rzeczą, iż zatarg rusko-polski w ostatnich czasach widocznie stracił swój ostry charakter, co zauważyć można nietylko w prasie ruskiej, traktującej spokojnie interesy Polski, lecz i w pewnych organach prasy polskiej zagranicznej, jakkolwiek oznaki te słabe są i nieśmiałe, napiętnowane cechą ustępstw koniecznych. Oczekiwać od nich sympatyi dla Rosyi, ma się rozumieć, niepodobna, i owszem, znajdziesz tam jeszcze stare wokabuły wyrzekań na politykę ruską; wszakże widocznem jest, iż się to już sprzykrzyło; rozsądniejsze organy prasy polskiej zdecydowały się „wyczekiwać faktów“ i w rezultacie owego wyczekiwania uznały za rzecz ważną dla żywiołu polskiego w Rosyi wspomniane przez nas projekty rozszerzenia praw rolników polskich, tudzież z uznaniem powtórzyły pogłoskę o dojściu do skutku banku włościańskiego w Królestwie, z powodu, iż będzie on postawiony na gruncie zupełnie ekonomicznym.

Są też inne oznaki, charakteryzujące chwilę współczesną w stosunkach rusko-polskich. Rozeszły się znowu pogłoski o jakichś emisaryuszach, jakoby włóczących się po naszym polskim kraju. Wedle jednych, są to agenci pochodzenia zagranicznego, prawdopodobnie austryackiego, wedle innych zaś wieści, z Wiednia, emisaryusze ci jeżdżą nie wcelu podbudzania do buntu, lecz w celu utrwalenia systemu wyczekiwania, jako jedynego środka załatwienia sprawy polskiej w okolicznościach, mających nastąpić. Najprawdopodobniej i te i owe pogłoski, ostatnie zwłaszcza, są tylko płodem bujnej imaginacyi, zwykłej w podobnych warunkach; co do ostatniego mianowicie poglądu, to polityka austryacka jest w nim zbyt interesowaną stroną, by można polegać na jej zdaniu. Wspomniane pismo polskie wypowiada też, że polacy nie dadzą się podmówić do powstania w jakimkolwiekbądź kierunku.

I tak, jak dotąd, okazuje się, że o „intrydze polskiej“ słychać obecnie, co najwyżej, w prasie polskiej, nie zaś w ruskiej, i co więcej, że grunt do sprawiedliwej oceny stosunków rusko-polskich zaczyna się wyrabiać w pismach polskich zagranicznych. Pod tym względem, i wogóle od prasy polskiej pozostaje jeszcze bardzo wiele do życzenia. Brak zaufania, podejrzliwość, w ostatnich czasach daje się zauważyć, wedle starych tradycyj, tylko z polskiej strony.

Rdzenna analiza tych tradycyj, wskrzeszonych na szpaltach tamtejszej prasy politycznej, jawny rozbiór pewnych, kiedyś nader drażliwych stron zatargu polsko-ruskiego, jakieś pogodzenie ich z wymaganiami czasu, z interesami bezprzecznymi Rosyi, przygotowałoby myśl polską do koniecznego, pomyślnego zwrotu, na rzecz którego prasa ruska już zrobiła krok, odrzucając ideę polskiej intrygi.

I my też mamy zasadę „wyczekiwać faktów,“ chociaż wcale nie w tej sferze, w jakiej wyczekują ich polacy. Być może, iż pierwsze kroki zjednoczenia wszechsłowiańskiego nie są za górami.

Dobry obrót w stosunkach polsko-ruskich, może być ważnym krokiem do spełnienia tego wspaniałego faktu.“

Warsz. Dniewnik pisze o zebraniu przywódców partyi ukrainofilów we Lwowie:

„Na zebraniu tem było kilkuset tych nihilistów, chociaż inne, nawet polskie gazety powiadają, że to kłamstwo, że było ich o wiele mniej. Byli tam profesorowie, adwokaci, doktorowie prawa i filozofii, nieco duchownych i włościan „gospodarzy,“ ale nie było człowieka z „carem w głowie“ i z sumieniem w duszy. Przemówienia wszystkich, którzy zabierali głos zarówno na posiedzeniach „dostojnego zebrania“ w „Radzie narodowej,“ jak i na wesołych zebraniach wieczornych, odznaczały się federacyjno-nihilistyczną dziczyzną, oklaskiwane przez towarzyszy i wypowiedziane z taką komiczną pewnością siebie, jakby w istocie hałastra ta składała się z samych upoważnionych przedstawicieli „rusinów galicyjskich,“ których imienia nadużywała tak bezbożnie. To też „rusini“ ci wręczyli w formie „plebiscytu“ profesorowi Aleksandrowi Ogonowskiemu „mandat impératif,“ aby ogłosił publicznie to, co plótł na zebraniu z własnego natchnienia, a mianowicie:

„My, rusini galicyjscy, jesteśmy częścią wielkiego, 20 milionowego narodu ruskiego, który stoi zupełnie oddzielnie wśród mnóstwa ludów słowiańskich, zajmuje całkiem odrębne stanowisko, tak ze względu na naród polski, jak ruski.“

Myślałby kto, że w tej gromadzie błaznów siedział istotnie przyszły wielki książę tego „księstwa kijowskiego,“ o czem baje ich organ, zapożyczywszy się od szowinisty niemieckiego Hartmanna, który niedawno w broszurce swej poprzecinał całą mapę polityczną Europy na zgubę dla wszystkich oprócz niemców.

Tenże Aleksander Ogonowski czytał przed tymi błaznami, których tytułował; „światłe zebranie," z upoważnienia jakiegoś „prowizorycznego wydziału" tej rady, swój „narodowo-polityczny program, odpowiadający położeniu i działalności rusinów." W programie tym gadał, jak waryat: „my narodowcy, postępowcy i liberały, my demokraci i federaliści" — a błazny ci nietylko że go słuchali, ale w zachwycie oklaskiwali samochwalcze jego brednie. Należało raczej powiedzieć: „my nihiliści" a „światłe zgromadzenie" oklaskiwałoby i ten sympatyczny a bardziej dla nich zrozumiały wyraz; ale p. Ogonowski, nie wiadomo dlaczego,nie wypowiedział go wprost, ale wyraził nihilizm wyznawany przez siebie i przez całe godne zebranie w takich mglistych słowach: „w teoretycznych kwestyach kulturnych zostawiamy każdemu pełną swobodę przekonań, ale narodowość i wyznanie wiążą się u nas tak ściśle ze sobą, że pomiatać temi świętościami nie odważymy się..." Tak, zaprawdę pojęcia te wiążą się z sobą ściśle i to nietylko u was, ale wy je rozrywacie właśnie. Cóż to jest właściwie ten pseudo-ukrainofilski „postęp," „liberalizm," „federalizm," jeżeli nie rozluźnianie i rozrywanie węzłów cerkiewnych, narodowych i kulturno-historycznych? Czyż nie w tym celu wymyślili oni sobie, jakoby „rusini galicyjscy i cały ten naród, którego niby cząstkę stanowią, był „narodem odrębnym?" „Nie odważymy się pomiatać wiarą, narodowością!" Faryzeusze! Czują oni dobrze, że splugawili wszystko, co stanowi świętość narodu, ale wypierają się tego głośno, aby oszukać lud prosty i prowadzić dalej swą robotę z większem powodzeniem. Czyż to nie oni przezywają przywiązanie swego ludu do ojczystej religii mianem „moskalo i schizmofilstwa?" Czyż to nie oni „witają z nieobłudną radością" każdy zamach przeciwko ich religii— wszystko to, co może „utrwalić" jak mówią „kościół katolicki na kresach Austryi?" Niby to ujmują się bardzo żarliwie za „rozwojem" swego narodu, a spychają go gwałtem z innej podstawy kulturnej, t. j. ogólno-ruskiego języka i literatury, a na jego miejsce stawiają jako lepszy, dziki swój żargon, „volapük" Szuszkiewiczów, Barwińskich, Ustjanowiczów, Ogonowskich z dziecinnemi, niezdarnemi ich próbkami w pewnych dziełach poezyi i nauki, w miejsce utworów, które stanowią ogólny owoc, siłę i chwałę całego narodu ruskiego.

Program swój uwieńczył godnie Aleksander Ogonowski hymnem uwielbienia da Austryi. Perły te warto przytoczyć we własnym volapüku pana Aleksandra. „Chcemy—mówił on—rozwijać się samodzielnie pod potężną opieką Austryi; dlatego też my, rusini galicyjscy, stoimy wiernie przy tronie Habsburgów, pragnąc szczerze i gorąco wzmocnienia monarchii austryackiej dla własnego dobra." Jedyna poprawka, jaką tu uczynić trzeba, jest taka: nie „my, rusini," ale „my, nihiliści," albo, co na jedno wyjdzie, „my, narodowcy, postępowcy, federaliści" itp. Ale w tym punkcie niepodobna zbijać logiki p. Ogonowskiego. W istocie nihiliści galicyjscy mogą i powinni uwielbiać Austryę, jako tacy, dla „własnego dobra," a ona istotnie powinna okazać im i okazała „swą potężną opiekę" dla „własnego ich dobra." Co to jest Austrya? Była jest i będzie państwem niemieckiem. Zabezpieczając panowanie zasaduiczemu swemu żywiołowi, tj. niemcom, w stosunku do swoich ludów słowiańskich i sąsiadów oddawna kieruje się zasadą *divide et impera*, bo w rozterce słowian jest ich słabość a jej siła. W ostatnich czasach trzyma się tej samej metody pod pokrywką pięknie brzmiących haseł: wewnątrz pseudo-autonomia narodowości, na zewnątrz „samodzielność ludów bałkańskich". Dlatego też podtrzymuje wszelkie odśrodkowe siły w łonie tych narodów, a wszelkie dośrodkowe stara się stłumić i zdławić."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Komitet przy ministeryum oświaty przypomina dyrektorom gimnazyów i szkół średnich, aby przy kompletowaniu bibliotek szkolnych zwracali pilną uwagę na nabywane do nich książki i nie dopuszczali tych szczególnie, które mają wątpliwy kierunek.

Swiet donosi, iż ministeryum komunikacyi zajęte jest obecnie projektem przedłużenia kolei żelaznej Brzesko-Chełmskiej przez Hrubieszów do Tomaszowa w pobliżu granicy austryackiej.

W Ciechocinku zakład wkrótce oddany będzie w dzierżawę generał-adjutantowi Mawrinowowi, dotychczasowemu dzierżawcy warzelni tamże.

Kantor naradczy stale ma istnieć w Petersburgu. Zadaniem jego będzie: 1) zbierać wiadomości o stanie przemysłu żelaznego w Rosyi i roztrząsać kwestye, dotyczące potrzeb tej gałęzi, a w szczególności projekty poruszane przez zjazdy; 2) prowadzić korespondencye z władzami rządowemi i przedstawicielami fabryk dla nadania dalszego biegu projektom, tudzież opracowywanie programów zajęć dla przyszłych zjazdów; 3) wydawanie specyalnego organu, poświęconego sprawom przemysłu żelaznego i 4) składanie ministeryum dóbr państwa na jego żądanie potrzebnych objaśnień i wniosków co do spraw, dotyczących tej gałęzi przemysłu.

Samobójstwo. W Tomsku odebrał sobie życie Michał Karczewski, rodem z Warszawy, zesłany przed kilku laty. Przez długi czas pracował w kantorze ubezpieczeń „Rosya." Wskutek rozporządzenia głównej agentury, żeby wogóle nie trzymać zesłanych za cywilne przestępstwa, stracił zajęcie. To go skłoniło do samobójstwa.

Wyrok. Przed sądem pierwszej instancyi w Madrycie stawali niedawno dwaj protestanci, oskarżeni o to, że nie uklękli przed sakramentem, niesionym przez księdza katolickiego ulicą do chorego. Sąd skazał obu na 6 tygodni więzienia i 25 fr. kary pieniężnej, mimo powołania się obrońcy na art. 11 konstytucyi hiszpańskiej, poręczającej wolność wyznań.

W Bostonie pewna amerykanka otworzyła salon, gdzie za niewielką opłatą zgromadza się publiczność ciekawa nowin politycznych, naukowych i brukowych. W tym celu owa dama czyta codzień wszystkie dzienniki i pisma peryodyczne, wychodzące w mieście, a następnie w sposób przystępny i zajmujący zdaje z nich sprawę, podnosi ważniejsze kwestye i wypadki bieżące lub objaśnia je dla niedość oświeconego audytoryum. Pomysł ten przynosi przedsiębiorczej amerykance tak świetne zyski, że obecnie myśli o rozszerzeniu lokalu i dobraniu sobie odpowiednich pomocników do wykładów.

Zawieszono wydawnictwo *Odeskiego Wiestnika* na trzy miesiące z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych.

Z Ługańska donoszą, iż w pow. słowianoserbskim w majątku Lubimowa znaleziono sól glauberską. Projektowanem jest rozpoczęcie tam produkcyi sody.

Międzynarodową wystawę sztuki otwarto w Wiedniu na pamiątkę czterdziestoletniego jubileuszu cesarza Franciszka Józefa.

Wystawa aeronautyczna otwartą będzie 1 kwietnia w Praterze wiedeńskim.

Fabryka aparatów telegraficznych, jedyna u nas, otrzymała w tych czasach znaczne zamówienia dla kolei żelaznych Łazowo-Sewastopolskiej, Orenburskiej i Poleskiej. Ubiegało się o to wielu agentów fabryk zagranicznych.

W Rzymie mularze nie mający zajęcia urządzili demonstracyę.

Grupa fabrykantów i właściciele zakładów przemysłowych wystąpiła z projektem założenia przy ich materyalnej pomocy warsztatu mechanicznego, w którymby kształcić się mogli praktyczni maszyniści do zajęcia po fabrykach odpowiednich posad, powierzanych dotąd przeważnie cudzoziemcom.

Nowa orkiestra tworzy się w Warszawie pod przewodnictwem pp. Feliksa Konopaska, b. dyrektora opery poznańskiej i orkiestry koncertowej w Petersburgu i Jana Lusakowskiego, wychowańca tutejszego konserwatoryum. Celem przedsiębiorstwa muzycznego jest wyrugowanie kapell zagranicznych.

Bank włościański. Projekt wprowadzenia Banku włościańskiego w Królestwie był już rozpatrywany w Petersburgu przez departament ekonomii państwowej i praw. Na ogólne wszakże posiedzenie wszystkich departamentów Rady państwa dotąd go nie przedstawiono. Obecnie projektowane jest otwarcie nie czterech, jak poprzednio, lecz pięciu oddziałów, z których w gub. siedleckiej i lubelskiej ustanowiony będzie głównie dla ludności miejscowej. Zarząd główny wszystkimi oddziałami powierzony będzie Radzie w Petersburgu, do której składu wejdzie podobno, jako stały, członek warszawskiej komisyi do spraw włościańskich.

Obostrzenie. Sfery rządowe pracują nad nowym przepisem, mającym zapobiedz uchylaniu się od opłaty na rzecz rządu przy spadkobraniu lub przelewie własności sposobem dawnym. Za takie uchylania się ma być ustanowiona wysoka kara pieniężna, wykrywający zaś nadużycie będzie otrzymywał, jakby za pochwycenie kontrabandy, stosowne wynagrodzenie.

Ciekawy „incydent" — jak mówi gwara literacko-warszawska — zdarzył się w tutejszym świecie handlowym. Do syndykatu cukrowników p. Izydor Meyzner wniósł zażalenie na niejakiego Juliusza Wertheima, oskarżając go o wykroczenia przeciwko etyce kupieckiej. Syndykat uznał się niepowołanym do rozstrzygania tego rodzaju sprawy, *Kuryer. warsz.* naprzód opisał zajście przedmiotowo, a potem odwrócił „incydent" naopak i przetoczył winę z p. Wertheima na p. Meyznera. Było to sprawiedliwe ukaranie śmiałka, który, posiadając mniej pieniędzy od swego przeciwnika, odważył się poddać jego czynności sądowi publicznemu. Prasa karać winna takich zuchwalców, p. Wertheima zaś otoczyć strażą honorową. Bo zdaje mi się, że jest to ten sam bohater, którego imię ze... czcią wymawiano, gdy przed kilku laty nagle umarł z nadmiernej pracy pewien biały murzyn i gdy również nagle wyjechał za granicę pewien Geldhab, który na korzyść robotników kolejowych ofiarował potem znaczną sumę pieniędzy? Nie posiadamy Almanachu finansowego, więc nie wiemy, czy to jedna osoba nosi te wszystkie zaszczyty. Przy sposobności: czy istnieje dzieło poświęcone etyce kupieckiej, na którą powoływał się p. Meyzner? Może to farsa?

Sądy. Głośny uwodziciel guwernantki, która wyskoczyła oknem w Skierniewicach, Czaczkowski, został przez Izbę sądową pozbawiony praw i skazany na osiedlenie w Syberyi.

W uniwersytecie kijowskim pomiędzy tematami do rozpraw na medal, wydział filologiczny ogłosił jeden z literatury polskiej: "O znaczeniu Kazimierza Brodzińskiego." Wyznaczył go prof. Florinskij, wykładający historyę literatur słowiańskich.

W guberniach nadbałtyckich jednoczesnie z rozkazem prowadzenia ksiąg i rachunkowości w języku ruskim na kolejach żelaznych, podano listę urzędników kolejowych, którzy obowiązkowo powinni władać językiem ruskim.

Zapis. Zmarły przed kilku tygodniami Stanisław Zajewicz, zapisał, jak donosi *Kur. warsz.*, 30,000 rs na posagi dla 10 dziewcząt. Testator zastrzega, aby wypłacano przeznaczoną kwotę dopiero po okazaniu metryk ślubnych. Każda z obdarowanych utraca prawo do posagu, jeśli do 23 roku nie wyjdzie za mąż, pozostała zaś suma rozdzieloną będzie dla innych spadkobierczyń.

Fałszowanie win. Stacya sanitarna urzędu lekarskiego m. Petersburga wykonała w tych czasach szereg analiz, które przekonały, iż fałszowanie wina odbywa się na wielką skalę, nawet szampańskiego. Tego gatunku, wyrabianego we Francyi, mianowicie w dep. Marny, jest bardzo mało, głównie zaś pija szampana fabrykowanego w Niemczech. To samo z koniakiem. Mniej zafałszowań znajdowano w winach hiszpańskich, przychodzących na statkach angielskich, są one jednak wogóle tanie i podrabiane w samym Petersburgu przy pomocy syropu i cukru.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. A. Gaj. I Pan sądzi, że wszystko drukować można, co jest napisane?

P. E. S. Forma *umieją* jest powszechniejsza, ale *umią, rozumią, śmią* również używana.

Abonentowi. 1) Niepodobna smutku krępować w objawach, a nie każdy zgodziłby się przeznaczyć koszt tablicy trumiennej na cel dobroczynny. 2) Znaczy: *dążenia, pragnienia.*

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

REGULAMIN
przyznawania nagród z zapisu Jakóba Natansona.

(Dokończenie).

B. Przedmiot nagród.

§ 7. Dwie, równe nagrody pieniężne, udzielane będą co lat cztery, za dwie największej wartości prace naukowe, w języku polskim ogłoszone, w ciągu ostatnich lat czterech.

§ 8. Pierwsze nagrody przyznane zostaną za prace ogłoszone drukiem między 14 września 1884 r. a 31 grudnia 1888 r. Następne czteroletnie okresy odpowiadać będą latom kalendarzowym.

§ 9. Jedna nagroda przyznawaną będzie za pracę najlepszą z ogłoszonych drukiem w danym okresie z dziedziny „nauk ścisłych“ (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznemi); druga za takąż pracę w zakresie „nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, historycznych lub tym podobnych.“

§ 10. Nagrody udzielone być mogą jedynie:

a) poddanym rosyjskim (§ 2 Ustawy);

b) mieszkańcom Królestwa Polskiego w Królestwie urodzonym.

§ 11. Za każde czterolecie przyznane być muszą dwie nagrody za prace, z ogłoszonych, najlepsze. Nie dopuszcza się odraczanie nagród dla braku prac znakomitszych, przenoszenie prac z jednego okresu czteroletniego do następujących, ani dzielenie którejbądź z obu nagród.

§ 12. Przeszkodą w utrzymaniu nagrody nie będzie:

a) uprzednie nagrodzenie pracy przez inną instytucyę;

b) zapomoga udzielona przez Kasę lub inną instytucyę za dokonanie lub ogłoszenie drukiem danej pracy;

c) rozmiary pracy.

§ 13. W razie nieprzyjęcia nagrody przez osobę, której przyznaną została, nagroda udziela się za inną, najlepszą z pozostałych prac danego okresu i działu.

C. Sposób przyznawania nagród.

§ 14. Do oceny przyjmowane będą prace składane przez autorów, wydawców, członków Kasy i wogóle osoby trzecie, a także zebrane staraniem Komitetu Kasy.

§ 15. Jakkolwiek Komitet Kasy starać się będzie, aby żadna z prac, kwalifikujących się do nagród, w sądzeniu pominiętą nie była, to jednak nie przyjmuje odpowiedzialności za przeoczenie prac, których autorowie lub osoby trzecie w terminie właściwym nie nadeślą.

§ 16. Prace, czyniące zadość warunkom wymienionym w § 7 i 10, składane być mogą do Komitetu w ciągu całego czteroletniego okresu i w ciągu dwóch najbliższych potem miesięcy.

§ 17. Prace autorów, którzy w okresie na sądzenie prac przeznaczonym, są członkami Komitetu Kasy, do sądzenia przyjmowane nie będą.

§ 18. Rozpatrywanie i sądzenie prac dokonywać się będzie przez półrocze następujące bezpośrednio po upływie konkursowego czterolecia, a to porządkiem i sposobem w regulaminie wewnętrznych czynności Komitetu Kasy wskazanym.

§ 19. Przyznanie nagród nastąpi na pierwszem jesiennem posiedzeniu Komitetu Kasy, prostą większością głosów Członków Komitetu, na posiedzeniu, w prawnym komplecie (§ 13 Ustawy) obecnych.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Февраля 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.